

KAMENNA

DWUTYGODNIK LITERACKI

LUBLIN

15.IV.1959

Nr 7 (173)

ROK XXVI

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: Ze wspomnień Jana Witkiewicza o Żeromskim • Z wizytą u dalszych i bliższych krewnych • Krok naprzód w sprawie drukarzy, edytorów, bibliotekarzy, bibliofilów • Felicjan Faleński o Lublinie • Wypowiedź konsumenta współczesnej literatury • Z lubelskiej sceny • Piękna książka o miłości • Nasz ekran i in.

APOLOGIA POWIEŚCI PRODUKCYJNEJ

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Tytuł powyższy nie jest ekstrawagancją młodego krytyka, żadnego sławy za wszelką cenę. Zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że termin: „powieść produkcyjna” należy do słów nieprzyzwyczajonych, od czasu słynnego artykułu Ludwika Flaśzyna wyrzuconych z mowy i pisma szanującego się twórcy, znawcy i konsumenta literatury. Słowo to niby senny, niedobry mająk należy do poprzedniego „etapu” w naszej kulturze, wybrzydza się na nie wszyscy, a szczególnie ci, którzy, za ten „etap” ponoszą moralną odpowiedzialność. Nazwiska Jana Wilczka, Mirosława Kowalewskiego, Bogdana Hamery, czołowych twórców tzw. produkcyjniaków, znikły ze szpalt pism literackich, a ich książki ze spisów lektury obowiązuje w szkołach. I tylko od czasu do czasu starzy duchem, acz gołowąsi, krytycy straszą powieścią produkcyjną niewinne noworodki literackie...

Myślę jednak, że nadszedł czas, aby zacząć mówić o powieści produkcyjnej poważnie i to bardzo poważnie. Jej rodowód bowiem nie wynika jedynie z konformistycznych i — sit venia verbo — wazelinarskich intencji pisarzy, z chęci zadośćuczynienia komediackim ciągłom niektórych urzędników rozlicznych resortów kulturalnych. Nie, pisarze nie zachowali się wobec problematyki produkcyjnej tylko, a nawet przede wszystkim jako koniunkturalści — zachowali się także jak dzieci, bezkrytycznie podatne na urok nowości. U źródeł powieści produkcyjnej tkwi — jakżeż bardzo właściwa literaturze — chęć odkrywania nowych, nieznanych dotąd krajin, spraw, rzeczy. Każdy utwór produkcyjny był złożony niemal wyłącznie z czynników pierwszych — bo po raz pierwszy dotkniętych, obrysowanych piórem pisarza.

Weźmy jako przykład chociażby ową, tak często wyklinaną i przeklinaną powieść o kampanii cukrowniczej Mirosława Kowalewskiego. Czytając ten utwór przed kilku laty odnosiłem nieustannie wrażenie jakiegoś osłupienia pisarza, może raczej kandydata na pisarza, który po raz pierwszy widzi, jak się robi cukier, kto go robi, dlaczego robi. Osłupienie to wywołało, bo wywołać musiało, jedynie zapis, jakby literacki, nieudolny szkic rzeczy oglądanych, dopełnionych później, w domu, wiadomościami z podręcznika technologii i produkcji cukru. Realia produkcyjne wzięły więc górę nad sprawami twórcy i konsumenta produkcji.

lomowych momentów w naszej literaturze współczesnej — a największą chłonność pisarzy na nieznaną dotąd tematy i realia przypada właśnie na chwile najbardziej rewolucyjne w kulturze i życiu. Zachowując wszelkie proporcje można Kowalewskiego, Wilczka, Hamerę i innych przyrównać w ich pracy, w ich procesie twórczym do pisarzy pozytywistycznych, opanowujących leżące wówczas ugiem tematy literackie: kwestię żydowską, nędzę proletariatu i inne.

Celem mojego artykułu nie jest przecież rehabilitacja twórców produkcyjniaków i windowanie tych pisarzy na słusznie utracone miejsce w hierarchii współczesnych twórców. Idzie jednak o to, aby nie wylewać dziecka wraz z kąpielą, aby z nieudalnymi utworami literackimi, z nieudalnymi kandydatami na pisarzy nie zatracać istotnego problemu, jakim jest właściwie pojęta tematyka produkcyjna w literaturze współczesnej.

Postulaty krytyki dotyczące pogłębienia literackiego ujęcia życia i człowieka w literaturze współczesnej są bez wątpienia słuszne. Zwroć uwagę głównie nie na sam temat, ale na obróbkę ideowo-artystyczną tego tematu — rzecz to bardzo chwalebna. W praktyce pisarskiej i krytyczno-literackiej wynika z tego jednak coraz częściej tylko zachęcanie do uprawy starej, dobrze już przeżytnej tematyki literackiej nowymi, bardziej celnymi metodami. O prekursorstwie w temacie mówi się już tylko jako o warunku usprawiedliwiającym lub łagodzącym — z użyciem słówek: „ale”, „choć”... Przeniesienie zaś akcji utworu w nowe, nieznanne dotąd literaturze środowisko produkcyjne wydzierżawia się bez zastężeń i wyłącznie reportażystom — w powieści lub dramacie uważając taki zabieg najczęściej za dziwoląg. Je-

(Dokończenie na str. 2)

Z Lublina do Dubrownika

Wspomnienie o L. M. Rogowskim

ZBIGNIEW PENHERSKI

Uliczka Svety Jakov, oddalona o dobrych kilkanaście minut drogi od centrum Dubrownika, stanowi jeden z tych zakątków, które — w dzień niemal zupełnie wyludnione — ożywają się dopiero późnym wieczorem. Spieczona gorącym, południowym słońcem, wiję się skalistym wybrzeżem Adriatyku wśród palm i kaktusów, aby daleko za miastem natknąć się na dzławaczny budynek o szarych murach i wąskich, okratowanych oknach. Tu właśnie, w jednej z cel starożytnego, opuszczonego klasztoru żył i tworzył kompozytor i — po części literat — Ludomir Michał Rogowski, osiadły na stałe w Dubrowniku od 1926 r.

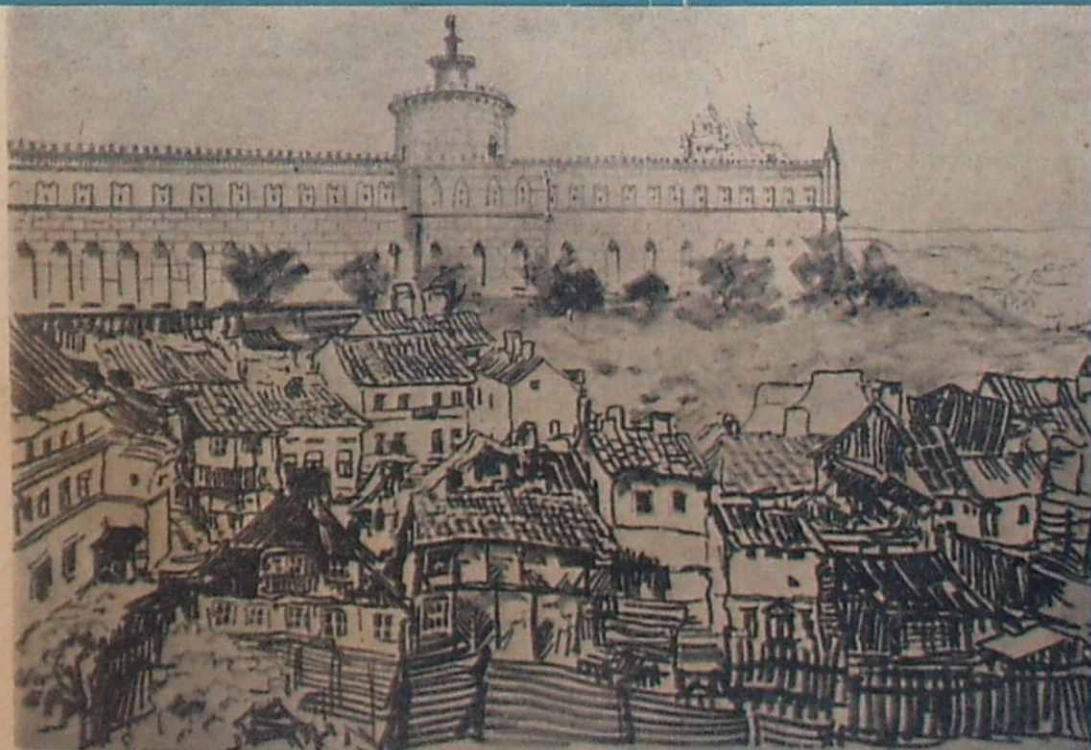
L. M. Rogowski — syn Feliksa i Karoliny z Kossakowskich, urodził się w Lublinie, 3 października 1881 r. Dzięki panującej w domu atmosferze kultu dla muzyki, zainteresowania kompozytorskie małego Ludomira skrytykowały się stosunkowo wcześnie, i mając lat siedem z zapalem pisał... wielką operę. O tym utworze Rogowski wspomina w swoich pamiętnikach z uśmiechem pobłażania i w końcu nawet nie wiadomo, czy to było napisane, czy... tylko pisane. Wiadomo natomiast na pewno, że rodzice Ludomira prawie co wieczór muzykowali i że z czasem dołączył się do tego i on sam. Do najbardziej ulubionych kompozytorów, należeli Chopin, Wieniawski i Moniuszko, przy czym pani Karolina jako pianistka najczęściej grywała Chop'na, a ojciec Ludomira co łatwiejsze utwory skrzypcowe. Wszystko to

dało Rogowskiemu zapewne wiele, niemniej jednak z czasem zaczął odczuwać niedostateczność takiego wykształcenia muzycznego, które — powiedzmy szczerze — ograniczało się do czytania nut.

Trudno powiedzieć z całą pewnością, w jakim stopniu musiał młody Ludomir przezwyciężyć trudności w obraniu zawodu kompozytora. W jednym z listów do Alicji Szymanowskiej wspomina: „byłem krąbrny i szedłem uparcie swoją drogą ku sztuce, zamiast zostać jak należało potrzebnym społeczeństwu człowiekiem”. Czy owo: „jak należało” jest refleksem niejednego gorzkiego doświadczenia (list pisany w 1933 r.), czy raczej odzwierciedla istotne trudności w wyborze kierunku studiów?

W 1906 r. L. Rogowski ukończył Konserwatorium w Warszawie, w klasie kompozycji Z. Noskowskiego, po czym wyjechał na dalsze studia do Wiednia. W czasie całego jednego roku był uczniem Artura Nikischa w klasie dyrygentury, studiując jednocześnie harmonię i kontrapunkt. Już teraz zaczyna się stopniowo zaznaczać wszechstronność zainteresowań i uzdolnień Rogowskiego. W roku następnym (1907 — 1908) w Monachium studiuje nie tylko akustykę, ale pracuje — jak wspomina — „nad sztukami plastycznymi”. W okresie od ro-

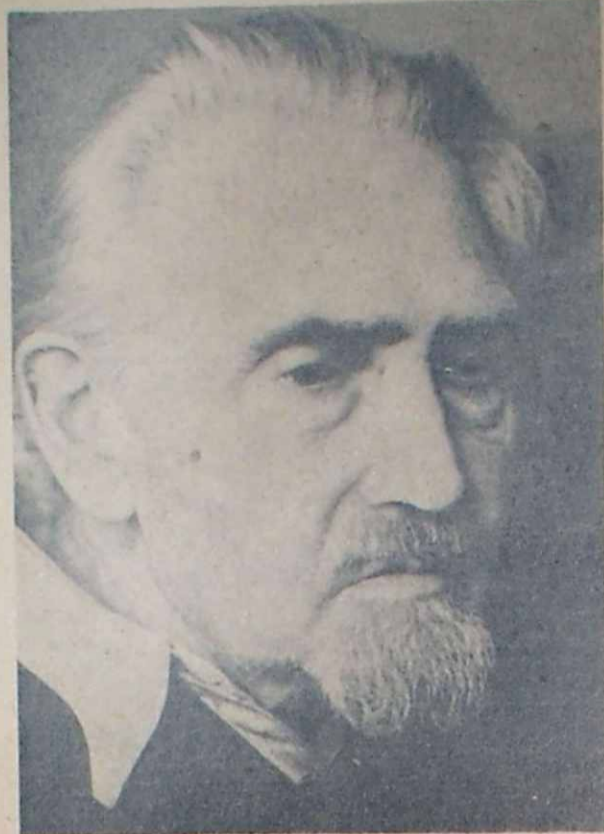
(Dokończenie na str. 4)



L. Wyczółkowski — Lublin, Zamek z Dzielnicy Żydowskiej

Ze zbiorów Muzeum w Lublinie
(widz na str. 5 artykuł „Lubelskie listy Felicjana Faleńskiego”)

Ze wspomnień Jana Witkiewicza o Żeromskim



STANISŁAW
FITA

Arch. Jan Witkiewicz

Okres pobytu Stefana Żeromskiego w Nałęczowie doczekał się dość wszechstronnego omówienia w wielu opracowaniach i wspomnieniach przyjaciół i współpracowników pisarza. Sam autor „Popiołów” we Wspomnieniu o Adamie Żeromskim ujawnił wiele interesujących szczegółów ze swego życia rodzinnego, twórczości i działalności społecznej w tym czasie, kreśląc jednocześnie wspaniały obraz tego zakątka ziemi lubelskiej, dorównujący swym mistrzostwem opisom krajobrazu świętokrzyskiej Puszczy Jodłowej.

Każde jednak z nowych wspomnień, których tyle pojawia się ostatnio na półkach księgarskich, wnosi jakies nowe elementy, nowe spostrzeżenia, dopełniając stanu naszej wiedzy o tym epizodzie biografii Żeromskiego. Do serii wydanych w ostatnich latach pamiętników: Heleny Duninówny, Jana Skotnickiego, Jadwigi Wayde-Dmochowskiej — przybywa jeszcze jeden, niedokończony wprawdzie, ale pisany przez jednego z najbliższych przyjaciół pisarza, inż. arch. Jana Witkiewicza, zmarłego 28 października ubiegłego roku w Warszawie.

Autor wspomnień urodził się w 1881 roku w Urdoninie na Litwie. Studia odbywał najpierw na Politechnice Warszawskiej, potem Lwowskiej, w 1901 r. za namową Żeromskiego udaje się na dalsze studia do Monachium. Po powrocie do kraju w 1904 r. przebywa początkowo w Zakopanem, gdzie wykonuje swoje pierwsze prace architektoniczne pod kierunkiem stryja, Stanisława Witkiewicza, twórcy „stylu zakopiańskiego” w budownictwie. Następnie osiedla się w Warszawie, „wpadając” często do Nałęczowa, gdzie buduje na Górze Armatniej domek w stylu zakopiańskim dla Żeromskiego. Bierz również udział w pracach towarzystwa społeczno-oświatowego „Światło”. Według jego projektu wzniesiono gmach ochronki w Nałęczowie.

Jako architekt otacza opieką zabytki przeszłości na Lubelszczyźnie. W 1911 roku referuje w Towarzystwie Opieki nad Zabytkami Przeszłości stan i potrzebę konserwacji m. in. zboru ariańskiego w Wojciechowie, pałacu w Krasnobrodzie, kamienicy „Pod Krzyżostem” w Kazimierzu, zabytkowej dzwonnicy w Piotrowinie nad Wisłą.

W czasie pierwszej wojny światowej przebywał na Białorusi w Mińsku, po powrocie do kraju osiedla się w Nałęczowie, gdzie zakłada szkołę rzemieślniczą budowlanych pod patronatem Towarzystwa Przemysłu Ludowego. Tu spotyka się znowu z Żeromskim, czuwając z nim nad ciężko chorym synem pisarza, Adasiem. „Ponad wszelkie fachowe opieki najkilkusza i najdoskonalsza opieka Jana Witkiewicza. Jego spokój, jego miłość i jego mestwo” — napisał później o nim Żeromski we wspomnieniach o zmarłym synu.

Po śmierci Żeromskiego jest jednym z pierwszych, którzy czynili starania o przeniesienie, zgodnie z wolą zmarle-

go, zwłok pisarza do mauzoleum nałęczowskiego. Witkiewicza, obok Aleksandra Patkowskiego i Wacława Sieroszewskiego, mianowała Oktawia Żeromska kuratorem posiadłości w Nałęczowie, którą ofiarowała narodowi. Był jednym z organizatorów muzeum Żeromskiego w Nałęczowie, czuwał nad nim troskliwie, przebywając już poza Nałęczowem do

końca życia. Tu też po jego śmierci rodzina przekazała wszystkie dokumenty dotyczące organizowanego głównie przez muzeum, akta kuratorium Fundacji Nałęczowskiej, dokumenty dotyczące starań o przeniesienie zwłok pisarza do Nałęczowa i sporo innych materiałów. Stąd też pochodzi publikowane obecnie w obszernych fragmentach wspomnienie pisane w ostatnich latach przed śmiercią i, jak widać, niedokończone. Nie odznacza się urokiem narracji wytrawnych pamiętnikarzy. Pisane językiem bardzo prostym, rejestruje tylko fakty z okresu znajomości i współpracy autora z Żeromskim. Jest jednak cennym dokumentem, gdyż wyszło spod pióra człowieka, który był jednym z najbliższych przyjaciół rodziny Żeromskich, doskonale obeznanym ze wszystkimi ich radościami i kłopotami, i świadkiem istotnie ważnych momentów w życiu pisarza.

Córcie prof. Witkiewicza, p. Henryce Szandomirskiej serdecznie dziękuję za pozwolenie ogłoszenia tych wspomnień oraz informacje biograficzne o ich autorze.

„Poznałem Żeromskich w r. 1901 jako 20-letni chłopak. Zupełnie nie pamiętam z jakiej racji przyszedłem do Żeromskiego na taką ulicę, gdzie Żeromski mieszkał jako pomocnik bibliotekarza, Tadeusza Korzona, w bibliotece Zamoyckich¹⁾. Pamiętam, że byłem oczarowany rozmową z Żeromskim i uprzejmością pani Oktawii. Mam wrażenie, że byłem tam ze dwie godziny. Było to niedługo przed moim wyjazdem na dalsze studia architektoniczne za granicę. Żeromski ostentacyjnie namówił mnie na Monachium, co się odbiło bardzo wybitnie na całym biegu mego późniejszego życia.

Jesienią r. 1904 Żeromscy przyjechali z dziećmi, tzn. z małym czteroletnim Adasiem i jego przyrodną siostrą, starszą od niego o 12 lat, Henryką Rodkiewiczówną do Zakopanego²⁾. Wyma-

gało pobytu w Zakopanem pogorszenie się stanu płuc Żeromskiego. W ciągu zimy z r. 1904 na 1905 zbliżyłem się bardzo z całą ich rodziną. Działalność społeczna Żeromskiego tej zimy w Zakopanem. Zorganizował czytelnię, która mieściła się w „Polance” przy ul. Zamoyckiego. Odbywały się tam odczyty. Zimą spędziłem w Zakopanem Abramowski Edward, Mielński Tadeusz i, jak zwykle, dużo chwilowo. Stryj mój, Stanisław Witkiewicz musiał być wtedy dla zdrowia w Lotwarie.

Wiosną 1905 roku jechałem do Warszawy w zamiarze wzięcia udziału w rozpoczynającym się ruchu rewolucyjnym w Państwie Rosyjskim. Żeromski prosił mnie o zawieszenie do Warszawy ilustracji do „Walgera Udałego”. Ilustracje wykonywał Jan Stanisławski, miałem je od niego odebrać w Krakowie. „Walger Udały” drukował się miał w „Chimerze”, wydawanej przez Miriamę — Zenonę Przesmyckiego³⁾.

Do Warszawy przyjechali Żeromscy jakoś w maju i zatrzymali się dla odpoczynku przejazdem w Nałęczowie, w mieszkaniu dra Radziwiłowicza, brata p. Oktawii. Stosunki moje z Żeromskimi tak się zbliżyły, że zapraszali, bym przyjechał do nich do Nałęczowa, tym bardziej, że Żeromski chciał zbudować dla siebie letni domek do pracy z dala od gwaru letników, na placu, który zamierzał nabyć w sąsiedztwie willi „Oktawia” (własność wtedy matki p. Oktawii Żeromskiej — Oktawii z Medunickich i voto Radziwiłowiczowej, secundo voto Chmielewskiej, wdowy po dr Konradzie Chmielewskim, dyrektorze i jednym z założycieli zakładu leczniczego w Nałęczowie⁴⁾).

Naturalnie, z zaproszenia korzystałem możliwie często, przyjeżdżałem tam zawsze na niedzielę a czasami pozostawałem na parę dni w związku z

(Dokończenie ze str. 1)

den „Ostry dyżur”, którego akcja dzieje się zresztą w spopularyzowanym już przez Żeromskiego środowisku iekarskim, nie czyni tu wylomu.

Tymczasem... tymczasem pozwolę sobie na kilka truizmów. *Signum specifi- cum* czasów, w których żyjemy — to bez wątpienia wielka, totalna rehabilitacja pracy. Rehabilitacja ta jest, a raczej powinna być — istotnym, centralnym procesem naszej literatury współczesnej. Reprezentant każdego zawodu i specjalności, każda fabryka lub warsztat pracy mogą stać się bohaterem książki, jej tłem lub środowiskiem. Trzeba pamiętać przy tym, że tzw. literatura piękna jest dla przeciętnego czytelnika dostarcycielem wiedzy o człowieku i świecie — także, jeśli chodzi o realia, o konkretne, nie zmyślone, nie zmetaforyzowane informacje i dane. Utwór literacki, który jakąś nieznana dotąd dziedzinę pracy ludzkiej podnosi do godności bohatera literackiego — wprowadza ją więc tym samym w obręb wiedzy społecznej o tej dziedzinie, odkrywa ją dla szerokiego mas czytelników.

Tak więc współczesna literatura piękna może i powinna pokazywać nieznane dotąd szerszemu ogółowi miejsca i dziedziny pracy, i, co najważniejsze, człowieka, którego te miejsca, te dziedziny najżywiej obchodzą, który jest w ich rozwój, postęp, zwycięstwo lub klęskę najżywniej zaangażowany. Praca w życiu współczesnego robotnika czy inteligenta jest przecież czymś więcej niż środkiem do zarobkowania; bądź co bądź spędza on przy niej, ofiarowuje jej przynajmniej jedną trzecią swojego życia. Każda praca z racji swojej techniki, swoich realiów inaczey wpływa na pracownika, wytwarza w nim swoistą psychikę, uwarunkowuje go na pewne zagadnienia. Etyka — w przekroju moralności zawodowej — również nieco inne, często nawet znacznie inne będzie stawiała postulaty lekarzowi i robotnikowi rolnemu, traktorzyście i metalowcowi.

Otóż to: przy słusznych założeniach tw. literatury produkcyjnej zwichnięto kręgosłup ich realizacji — położono nacisk na realia, na tło, na elementy opisowe — zamiast na właściwego bohatera powieści czy dramatu — człowieka. Pokazano, jak się zmieni-

APOLOGIA

POWIEŚCI PRODUKCYJNEJ

ly warunki pracy, miejsca pracy, nawet prawodawstwo pracy — nie pokazano, jak, dzięki temu, zmienił się człowiek. Rzecz jest bezwarunkowo do oświecenia, ale bynajmniej nie za cenę odsunięcia na daleki plan właśnie tych produkcyjnych realiów, tych informacji o tle książki, tak bardzo potrzebnych czytelnikowi.

Przykro powiedzieć, ale w tak pojętym „nowatorstwie realiów” stoimy w tyle za literaturą dwudziestolecia. Przykłady? Ot, chociażby „Zakłete rewiry” Henryka Worcella — książka, która zdumionym oczom międzywojennych konsumentów literatury pokazała trud, zakamarki życia kelnerów. Nie idzie mi w tej chwili o ocenę tej powieści, co do której można mieć rozliczne zastrzeżenia, ale faktem jest jedno: pokazano pracę a zarazem walną część życia ludzi, z którymi stykano się nieraz codziennie, a od których — od tej strony — nie wiedziano nic.

Wynika z tego, że w nowej fazie literatury produkcyjnej, którą niewątpliwie rozpocząć należy, główną uwagę zwrócić trzeba na penetrację przez pisarzy nowych dziedzin ludzkiej pracy i życia i na zwrócenie twórczej uwagi na zachowanie się człowieka w nowych (dla niego, pisarza i czytelnika) warunkach, środowisku, sytuacjach. Reportażysty są tutaj jedynie wartościową, choć nie nieodzowną czołówką, na którą nie można zwałować całego trudu i odpowiedzialności w przerywaniu nowych tematów i za którą muszą pójść powieściopisarze, dramaturdzy, poeci. Nie można tu uspokoić pisarskiego sumienia tym, że na przykład utwór, w którego akcję zabiegają się jakieś problemy spółdzielczości produkcyjnej, czy pracy w fabryce, spełnia już dostatecznie postulat nowatorstwa tematycznego. Nowa literatura „produkcyjna” — jeśli już pozostaniemy przy tej obciążonej niepopularnością przydawce — ma przed sobą wielką, największą chyba dla artysty, szansę wydobycia z naszego codzien-

nego życia i pracy całego, ukrytego w nich bogactwa i barwności, dramatyzmu i konfliktów. Nie można tu się zasnaniać powiedzeniem Witkiewicza o większej wartości dobrze namalowanej główki karpusty od źle narysowanej głowy Chrystusa — literatura bowiem, która poprzestaje na szlifowaniu i majsterskim czyszczeniu obranych tematów bez zastrzykiwania sobie odżywczej substancji nowych problemów — rzyhło karleje do rozmiarów dekadencji i bezpłodnego — acz nieraz szumnie i żmudnym motywowanego — ideowo — artystostwa.

Rzecz jasna, że realizacja tak pojętej nowej fazy w literaturze produkcyjnej nie może być szybka i łatwa. Właśnie błędem wyklętych „produkcyjniaków” — mimo tłumaczącego je w pewnej mierze naglącego zamówienia społecznego — był pośpiech, niechęć przed długim i żmudnym poznawaniem środowiska i ludzi, jacy mieli się stać bohaterami książki. „Zakłete rewiry” Worcella były owocem wielu lat życia i pracy ich autora — nowa powieść o współczesnych kelnerach nie może powstać w ciągu kilku miesięcy. Idzie jednak o to, aby nie „przeginać palki” w drugą stronę: aby nie unikać nowatorstwa tematycznego i to właśnie w zakresie tzw. tematyki produkcyjnej tylko dlatego, że wymaga ona dużo więcej trudu i wysiłku niż topienie w fałszowanym, eksperymentatorskim sosie tzw. ogólnoludzkich problemów.

Chciałbym, aby w sprawie bronionej przeze mnie tematyki produkcyjnej i prawa współczesnych utworów literackich do nowatorstwa przedstawianych środowisk i realiów zabrał głos sam pisarz i, chyba najbardziej zainteresowani, czytelnicy. Jest to przecież problem ideowo-artystyczny, który wcale się nie skończył z poprzednim etapem, który — być może — dopiero teraz się zaczyna...

Zbigniew Pędziński

budowę „Chaty”, owego domku letniego w ogrodzie, składającego się z jednej, jedynej izby z ganeczkiem. Wielkość izby 7x5 m, pulapu nie było, natomiast dla powietrza przestrzeń pod dachem stanowiła podniesienie wysokości izby. Trzy okna, zwrócone na wschód, zajmowały całą szczytową ścianę. Chata była zbudowana z bal 4-calowych na zrąb, kryta gontem Narli, zgodnie z życzeniem Zeromskiego — charakter domów projektowanych przez Stanisława Witkiewicza w Zakopanem (rozwiązanych na budownictwie ludowym Podhala), które twórca nazywał „stylem zakopiańskim”.

Przyjrzyj swoje do Należczowa łączymy z dostarczeniem bibuły nielegalnej, rewolucyjnej oraz agitacją „Związku Ludowego”, którego byłem jednym z założycieli obok Stefana Brzezińskiego, Zygmunta Nowickiego, Ludwika Sudy, Najmoly, Wacława Kruszeńskiego i innych. Ze „Związku Ludowego” wyrosła później nielegalna partia „Zaranie”, a później legalna „Wyzwolenie”¹⁾. Zeromski bardzo sympatyzował z tym rewolucyjnym ruchem ludowym i uważał, że obok PPS, która na wsie organizowała parobków dworskich i robotników sezonowych — potrzebna jest dla chłopów — gospodarzy taka odrębna organizacja. Sam pomagał do rozpowszechniania wydawnictwo „Związku Ludowego” oraz w szczególności broszury „Zmowa powszechna przeciw rządowi carskiemu”, napisanej specjalnie dla „Związku” przez Edwarda Abramowskiego²⁾.

Podczas budowy „Chaty”, która postępowała na miejscu, „pod okiem”, Zeromski przeżywał całymi dniami, dopilnowywał wszystkich moich wskazówek i przebieg tej pracy oraz swoje wrażenia opisał później we fragmentach parokrotnie w swoich utworach³⁾.

Zeromskiego interesował każdy obywatel życia i jego zjawisk nie powierzone, lecz musiał wszystko co go otaczało, zdawało się, zgłębić do dna, przetrwać w sobie. Miał mnóstwo małych notatników, w których zapisywał wszystko to, co potem mogło posłużyć jako materiał do utworów. Wszystko składało się na jego twórczość. Kiedyś w rozmowie powiedział mi, że „dla zdobycia dobrego porównania go-

tów pojechać na koniec świata”. Taką była jego rzetelność twórcza.

Miałem wtedy lat 24, byłem entuzjastą, zapaleńcem zarówno w życiu jak i w pracy społecznej. Rozmowy z Zeromskim stawały się dla mnie jakby apoteozą wszystkich nurtujących jeszcze we mnie od bardzo wczesnej młodości ideałów, dążeń i pragnień wewnętrznych i marzeń o czynnie. [...]

W stosunku do Zeromskiego miałem jednak już wtedy pewną dozę krytycyzmu. Wynikało to stąd, że tak bardzo wciągnąłem się w życie całej czwórki Zeromskich i bodaj żaden szczegół ich stosunków wewnętrznych nie mógł ująć mojej uwagi. Nie wiem jakie cechy mojego charakteru sprawiły, że uważałem mnie jak kogoś z rodziny. Ja też przyglądałem do nich wszystkich całym sercem. Byłem ich powiernikiem w radościach i troskach jak nikt inny. Byłem nawet już im potrzebny. Wyrezyłem często p. Oktawie w staraniach i usługach dla Zeromskiego, załatwiałem różne interesy. Oboje dzieci, Henię i Adulka, kochałem jak młodsze rodzeństwo. To uczucie już wtedy było tak silne, jak wielką i głęboką jest pamięć o tych wszystkich, nieżyjących teraz, kiedy to piszę”.

Stanisław Fita

1) W latach 1898—1904 pracował Zeromski jako pomocnik bibliotekarza (Tadeusza Korzona) w bibliotece Ordynacji Zamojskich w Warszawie. Mieszkał wówczas przy bibliotece, w bocznym skrzydle tzw. „Błękitnego Pałacu” od strony ul. Zabłoj. (Por. S. Adamczewski: Stefan Zeromski. Zarys biograficzny. Wyd. 2. Łódź 1947, s. 82).

2) Od jesieni 1904 do wiosny 1905 przebywał Zeromscy w Zakopanem. (S. Adamczewski: dz. cyt., s. 88).

3) Powieść o Udalym Walgierzu z 2 frontispisami Jana Stanisławskiego druk. była w „Chimerze” t. IX (1905) z. 25—27.

4) Plac ten nabył Zeromski od dr. Wacława Lasockiego, lekarza nalezcowskiego zakładu leczniczego, twórcy muzeum regionalnego w Należczowie.

5) Polski Związek Ludowy, pierwsza organizacja chłopstwa na terenie Królestwa Kongresowego, powstał w r. 1904. Ze Związkiem współpracowali działacze towarzystwa „Światło”. Obszerne informacje źródłowe o działalności PZL zawiera książka S. J. Brzezińskiego: Polski Związek Ludowy. Materiały i dokumenty. Oprac. Cz. Wycech. Warszawa 1957.

6) E. Abramowski: Zmowa powszechna przeciwko rządowi. Warszawa 1903, nakł. Ludowego Koła Oświaty, s. 39.

7) Przede wszystkim w: O Adamie Zeromskim wspomnienie.

Podobieństwo dźwiękowe niektórych wyrazów w różnych językach wywołuje czasem dziwne obrazy. Napis u wejścia do ZOO oznajmujący, że nabycie biletów przez tr u p y jest premiowane zniżką, wstrząsa moją wyobraźnią. Jednak przy kasie jestem otoczona tylko przez żywych i to przez bardzo żywoty ich rodzaj: dzieci i żołnierzy.

Pokazuje się naocznie, że pod każdą szerokością geograficzną i niezależnie od ustroju ten rodzaj publiki najbardziej ciągnie do egzotycznych wrażeń... przed klatkami.

Przeciskając się z trudem przez rzędy zaparkowanych aut i Lambrett, wymijając sprzedawców piłek, baloników i kwestujących na różne, przypuszczalnie mało popularne choć godziwe, cele, wkraczamy na teren ogrodu i... natychmiast spotykamy się oko w oko z przedstawicielem królewskiego rodu, prawda, że jeszcze oseklem.

Lwie niemowlę, ukucnięte na ławce i przywiązane do niej łańcuszkiem, służy za przynętę i model do wspólnych fotografii.

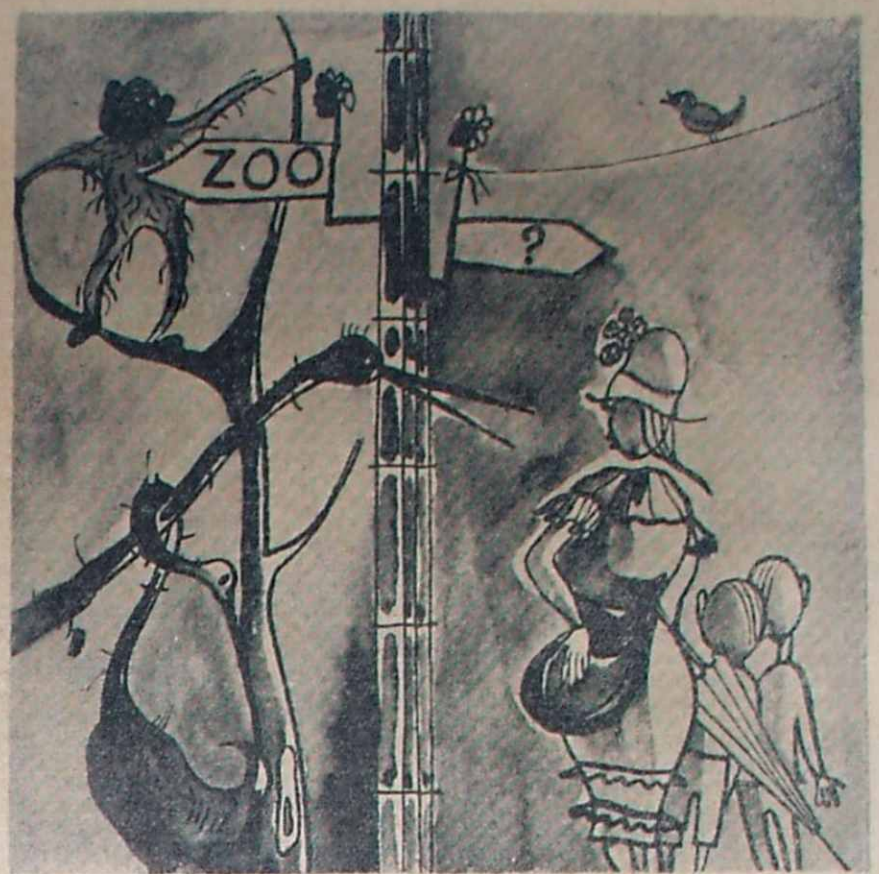
Spoglądam na królewskie dziecko: wydaje się być całkownie obojętne na otoczenie. Chciwie palce ludzkich dzieci i trochę zażenowane ręce ludzi dorosłych mierzą plow, jeszcze lekko plamista sierść na małym grzbiecie. Nie reaguje. Nie zwraca głowy ani się nie uchyla, ani nie wydaje głosu. Trwa doskonale opanowany.

Czy żadne wrażenia nie docierają do niego? Grube fałdy na futrzonym czołku nad złotymi nieruchomymi oczami nieprzyjemnie postarzają dziecięce oblicze lewka.

Nagle, giovane leone rozjaśnia się cały w jakimś chwytającym za serce zwierzęcym uśmiechu. W rozjaśnionych zainteresowaniem bursztynowych ślepiach mignęła gotowość do zabawy!

Co obudziło wesołe zainteresowanie? Co wywołało niespodziewany objaw radości? Rozglądam się żywo dokoła. A, to pantofel na wysokim jak kolumna Trajana, a cieniutkim jak nitka spaghetti, obcasie spadł z nogi jakiejś ragazza i potoczył się w kierunku lawki.

Nie, lewku. Nic z tego. Zabawy nie będzie. Ciebie trzyma łańcuszek. Dziewczyna nie patrzy w twój stronę. Włożyła pantofel i odeszła z towarzyszącym jej ragazzo do bardziej „groźnych” przedstawicieli członków wielkiej rodziny mammiferi, do któ-



rych i ona przecie też należy, choć o tym nie pamięta.

Cóż, idziemy i my dalej. Nawet mamy przed sobą porządnie ustawione drogowskazy. Oto jeden z nich:

aquile
zebre
scimmie
telefono
gabinetti

Gabinetti i telefono chwilowo nas nie interesują. Orły zostawmy w ich podniebnym, a ściślej mówiąc „poddrucianym” świecie. Dążymy za prądem, a więc — do małp.

Nie spochmurniało niebo, a to, że znalazłam się nagle twarzą wobec ciemności sprawiła ciasnota i mrok klatek zamykających w sobie czelkowskie istoty, w których tak uporczywie doszukuje się swoich przodków istota dwureka. Ma ona nad nimi tę przewagę, że do klatek jest wsadza i oś czasu do czasu przechodzi tu, aby się im przez druty przyglądać.

Ten rodzaj popularnej rozrywki przypomina mi o istnieniu równie rozpowszechnionego zamykania do oglądania się w krzywym zwierciadle w „Wesołych Miasteczkach”. Scimmie, mówiąc z włoska językiem Zagłoby — „sono in genere bestie (intelligenti)”. One nie przyglądają się tak zachłannie oblegającym je ludziom. Czasami któraś z drobnego gatunku reżusów, sprowokowana torebką ziemnych orzeszków, wyciągnie rękę po drobny owoc, który zrzucony niezręcznie lub niedbale, albo wręcz złośliwie, nie zawsze do niej doleci... Czasami pawian płaszczywo iskający gęstwą futra, lub mandryl przerwie to absorbując go zajęcie, aby wykrzywić się sprośnie do gapiów.

Szympan, afrykańskiego pochodzenia małpa, najbardziej chętna do obcowania z ludźmi na równej stopie, tu kurczy się w kącie betonowej celi, posępna i odpychająca.

W sąsiedztwie, orang-utang „człowiek-leśny”, ów współubylec człowieka z Borneo i Sumatry, niepokojąco myślenia spojrzaniem mierzy milcząc przesuwanie się przed nim rozgadane, hałasujące istoty.

Dziwne te istoty, okrywając wyłysiałe ciała zwierzęcą wełną, zdartyśmi ze zwierząt skórami i futrami, karmiąc się mięsem i krwią zwierzęcą, przyznają się, ale z dala od jego widoku, do pokrewieństwa z nim i jego rodem. Obmyśliły i realizują już pociski międzyplanetarne, projektując lądowanie na planetach — one: homo sapiens, również twórcy napisu mówiącego więcej o człowieku niż wszystkie księgi:

„Canibalismus ist mit dem Tod bestrafen”⁴⁾

Ej, ej, gdzie to zaprowadziły mnie myśli!

Czy nie lepiej napić się mocnej, pachnącej, mobilizującej mokki w bliźniutkim barze ogrodowym. Miniaturowe stoliki aż plwają się w słońcu i dzieci bawią się w chowanego za gru-

baśnym pnem drzewa, chroniącym je i nas od wiatru, który niesie chmury.

Przy placeniu mała ze strony konsumentów poprawka rachunku, przyjęta przez obsługę bez obrazu, owszem, z rodzajem uznania. Goście dający się łatwo nabierać bynajmniej nie zyskują w Italii na szacunku. Papieros (amerykański, te mają tu największe powodzenie) wonnym dymkiem dyskretnie woaluje maleński, nieważny incydent — żegnani najprzejmiej, odwzajemniwszy się równą uprzejmością, opuszczamy słoneczną placówkę.

Chcąc wyjść, trzeba jeszcze przejść obok drapieżników. Czarne pantery, cudo stalowej siły, ukryte w aksamitnej, płynnej, rzecz by można śmiało: pieszczotliwej, miękkości... pumy, jaguary, lamparty, tygrysy, lwy, wreszcie wilki. Żalony widok zamkniętej przezwannie na kwadratowych metrach tęsknoty do przestrzeni, do swobodnego ruchu, do czystego oddechu, do, żeby to uczciwiej i prościej określić — zwierzęcego życia.

Bardzo proszę nie mówić mi, że jestem czułościową i nie mam racji, ponieważ tych ileś zwierząt nie odczuwa ujemnych warunków swego tu bytowania, jako że rodzą się (niektóre nawet od paru pokoleń) w takich właśnie „zoologicznych” warunkach.

I proszę nie powtarzać mi, że w mojej awersji do wszystkich instytucji tego typu przejawia się niezrozumienie ich celowości i społecznej potrzeby.

Celowości nie ma żadnej, a potrzeba — wątpliwa.

Dzięki zwierzę, wszystko jedno, od myszy do tygrysa i krokodyla, od kolibry do orla i kondora, oglądane w tych nienaturalnych warunkach, nie jest tym samym zwierzęciem, co żyje na wolności. Równie dobrze, a nawet lepiej można dać widzom pojęcie o wyglądzie egzotycznego zwierzęcia w muzeum przyrodniczym, nie powodując, szczególnie u dzieci, fałszywego obrazu przyrody, a co za tym idzie i świata.

ZOO zmysłkie, choć utrzymywane pieczołowicie (świadczą o tym choćby owe tabliczki wzywające publiczność do „kolaboracji” przy porządku i czystości miejsca), zapewne walczy z niemałymi trudnościami materialnymi (widać to po przestarzałych urządzeniach i ciasnocie pomieszczeń). Ale i inne znane mi ogrody zoologiczne, np. nasz warszawski, lepiej od tego zplanowany, a także bezkonkurencyjny chyba w Europie ogród w Hamburgu (czy jeszcze istnieje w swej dawnej postaci?) nie przekonywają mnie. Zwierzyńce w parkach narodowych, choćby u nas w Puszczy Białowieskiej, w Górach Świętokrzyskich, rezerwat bobrowy w Pasłęce, ptasie jezioro Dziwnowskie, że tylko te wyliczę — owszem, to już coś wiele rozsądniejszego. Tyle, że... dzieciom i wojskowym daleko do nich, i mniej poręczne zwiedzać — popołudnie niedzielne na to nie wystarczy.

Ale wobec tego czy nie lepiej iść dla rozrywki do Wesołego Miasteczka? „Zamiast”.

(Dokończenie na str. 4)

R Z Y M na codzień

EWA
SZELBURG - ZAREMBINA

III.

Z WIZYTA
U DALSZYCH I BLIŻSZYCH
KREWNYCH

Chwała ci, Apollinie! Ukazałeś mi, że i w Rzymie może być pogoda.

Czy długotrwała? Na pewno nie. Spieszymy więc korzystać z uśmiechu losu. Nie ryzykujemy jednak za wiele i nie wypuszczamy się na daleki spacer, aby nie wystawać bez końca na przystanku trolejbusowym czy tramwajowym i wracać do domu pod ulewą.

W pobliżu mamy zachwalany nam wielokrotnie il Giardino Zoologico di Roma. Czemu nie mielibyśmy iść tam, skoro jest niedziela, dzień niefrasobliwy.

Idziemy.

Droga prowadzi wzdłuż muru tak nieprzeniknionego jak cesarskie mury w stolicy ognis plemienia Man. Nad i za murem kędzierzawią się po prostu wierzchołki drzew rozległego parku. Piękna siedziba zamknięta w sobie wyniosła, amerykańska. Jedno z wielu w tej dzielnicy miejsc eksteritorialnych, Wzgórze Pavidy z jego okolicami mieści sporo różnych placówek cudzoziemskich i ambasad.

Mrużąc oczy w silnym słońcu, stąpamy po wilgotnym żwirze alei między murem i torem tramwajowym. Trochę biota ciepła się obuwia — ziemia jeszcze nie obeschła po nocnej wilgoci.

⁴⁾ Napis na ścianie więzienia na Świętym Krzyżu, gdzie hitlerowcy więzili i gwałtili jeńców wojennych radzieckich podczas wojny światowej.

R Z Y M na codzień

(Dokończenie ze str. 3)

IV.

WRAŻENIA — OD RAZU UPRZE- DZAM — POWIERZCHOWNE

Skoro jest się już na terenie rzymskiego ZOO, nie należy opuścić okazji zwiedzenia leżącego na tym samym terenie Muzeum Afrykańskiego, do czego zachęcają strzałki z napisem widocznym z daleka.

Odwiedzimy i Afrykanów. Muzeum temu patronuje, L'Institut Italiano per l'Africa, wydający swój własny periodyk pod tytułem „La voce dell' Africa”, którego numer otrzymują bezpłatnie zwiedzający. Próg tego budynku przepięknie niewiele dzieci, za to wielu wojskowych.

Mapa Afryki na ścianie przedsiönka zapoznaje wyraziście z przemianami politycznymi, jakie zaszły ostatnio w tej jak najbardziej interesującej części świata. Dotyczy ona i włoskiej republiki. Nawet bardzo dotyczy.

Mnie (czy nie powiedziałam już, że będą to wrażenia jak najwykleszane?) interesują sale pokazujące etnograficzne cechy, które nie ulegają szybkim zmianom.

„Pierwszy rzut oka i — staję jak przegwożdżona: ze ściany z wysoka uśmiecha się do mnie czystej krwi łowiczanka w stroju jak na procesję Bożego Ciała! Podchodzę bliźutko obrazu, aby przeczytać: „Giovanna di Cirinaica”. Nie wszystkie typy młodych kobiet z Cyrenaiki są równie „polskie” i podobnie do naszych wiejskich dziewcząt ustrojone. Widzę i ciemnoskórą, o odrębnych, bardzo nawet obcych rysach. Są tu i Libijki i Arabki, typy z Tangeru, Mairubi, Trypolisu, Tunisu, Etiopii... Niemal tajemnicze, tak surowe i groźne wrażenie wywołuje manekin przedstawiający Taurega w jego czarnej opończy z twarzą zamaskowaną, uzbrojonego tak, że chce się określić „po zęby”. Ale naprawdę wstrząsający jest widok kilku rzędów masek pośmiertnych, odlewów męskich twarzy, określonych krótko jako mężczyźni „pochodzących z Sahary”.

Nie wiem skąd, jak, przychodzi mi na myśl Saint-Exupery, jego „Terre des hommes”. I już trudno mi oddać się tylko czystemu zachwytowi nad finezyjnymi wyrobami z włókien różnego rodzaju, z owoców palmy dum, jakie służą do tworzenia nie tylko rozmaitych drobnych przedmiotów, ale i maleńkich, ciekawych rzeźb... Przechodzę bez większej ciekawości obok skomplikowanych wyszyc, aplikacji, haftów, zauważając tylko mimochodem jak nieodłączne, jak wzruszająco

niezbędne jest człowiekowi Piękno na najpierwszym nawet stopniu rozwoju jego ludzkiej osobowości.

A oto warto zatrzymać się dłużej wobec przedhistorycznych malowideł wykonanych z niewiarogodną maestrią. Oszczędne aż do asezy, promieniują ze siebie wielką wiedzę artysty o świecie oglądanym nie tylko przez „widzącego” ale i przez „wiedzącego”. I świadczą o najwyższym opanowaniu rzemiosła.

A to jest „tylko” malarstwo... „przedhistoryczne”... z czasów równorzędnych europejskiej epoce lodowcowej. Jak może nie zastanowić, że dzisiejsi przeintelektualizowani plastycy epoki międzyplanetarnej, z Pabłem Picasso na czele, tak skwapliwie sięgają do twórczości kolegów jaskiniowców?

Zeby tylko zastanawiało. Ale to także, w jakiś sposób, budzi lek.

Sal w muzeum jest sporo. Kilka poświęconych unaocznieniu bogactw naturalnych. Minerale, drewno o tak wielobarwnych dekoracyjnych słojach, jakie np. ukazuje zielonorożowo-czarno-złocisty przekrój „arba diospiros”, muszle dostarczające perłowej masy na guziki, gąbki, płody rolne, owoce, nasiona, skóry węzów i jaszczurek przerabiane na damskie modne (na szpilkach, rzecz jasna) pantofelki, futra.

Pokazano także, obejmując dłuższy okres czasu, i to w dużej liczbie, fotografie podróżników, uczonych, zdobywców i w ogóle osób związanych z zagadnieniem Afryki—Italia. Czytam nawet nad częścią z nich wspólny napis: „Decorati di medaglia d'oro nelle guerre coloniali”.

Jest między odznaczonymi złotym medalem za wojnę kolonialną — kobieta: tęgawa dama w starszym wieku, ocieniona findesieklowym kapeluszem. Nie mam już czasu zapoznać się z jej wypisaną drobnym makroem działalnością — grupa wojskowych wypełniła tę właśnie rolę. Tę i przyległe, pełne niedosylnego szczęku i huk bronii. Zgromadzona w nich jest przede wszystkim broń. Za tło i dopełnienie jej służą obrazy batalistyczne oraz bogate, do dalmatyki i ornatów podobne, stroje noszone przez dworskich dygnitarzy etiopskich.

Tak oto znajdujemy się wobec nie bardzo jeszcze wystudzonych wspomnień wojny abisyńskiej z roku 1936. Nie wiem, co myśli ten młody żołnierz spojrzem obijający jednocześnie drewniane dzidy, łuki, skórzane tarcze i wystawione naprzeciw nim — czołg i armaty.

Ani też wiem, jakie uczucia budzi w tej ciężarnej młodej kobiecie, prowadzącej przed sobą dwójce małych dzieci, wisząca w pobliżu mapa. Jest to mapa porównawcza, która unaocznia różnicę w załudnieniu Italii i państwa negusa oraz w zajmowanym przez nie obszarze.

Wygląda, jakby tak podany obraz tego kawałeczka planety Terra coś tu usprawiedliwiał, coś z niedalekiej przeszłości... a może jeszcze inną ma to wymowę?

Nie, nie jestem przekonana. W statystykach zawsze jest coś fałszywego, jeśli tyczą się spraw ludzkich.

Krok naprzód

ROMAN ROSIAK

Każdy, komu wypadło zajmować się jakimikolwiek pracami z zakresu historii drukarstwa, księgarstwa czy bibliotekarstwa, wie doskonale, ile wysiłku kosztuje zebranie samej tylko bibliografii do danego tematu, tak podmiotowej jak i przedmiotowej. Jakże często nie można nawet ustalić nazwisk drukarzy, bibliotekarzy, bibliofilów czy edytorów, żyjących jeszcze przed kilkudziesięciu laty, a cóż dopiero mówić o dotarciu do materiałów obrazujących ich życie i działalność.

Trudno wskazać w kilku słowach wszystkie czy chociażby główne przyczyny takiego stanu rzeczy. Dlatego ograniczymy się tylko do wymienienia niektórych bolączek. Pierwsza — to często jeszcze brak zrozumienia dla konieczności otaczania opieką wszelkich materiałów odnoszących się do spraw związanych z książką. A więc trudno znaleźć drukarnie prowadzące porządne archiwa i gromadzące okazowe egzemplarze wszystkich drukowa-

nych pozycji. Np. po wyzwoleniu niemal wszystko, co pozostało po drukarniach przedwojennych i działających w czasie okupacji — zostało zniszczone. Dziś jeszcze przekazuje się na przykład rokrocznie całe tony różnych papierów, sprawozdań, druków, które nie podlegają Wojewódzkiemu Archiwum Państwowemu, a przecież można w nich znaleźć często wiele cennych informacji. Po prywatnych drukarniach, których w Lublinie w okresie dwudziestolecia było ponad 30, zostały właściwie tylko wspomnienia i ustne relacje żyjących jeszcze starszych pracowników. Jeśli chodzi o lata wcześniejsze — sytuacja staje się tym bardziej trudna. I chyba właśnie ten stan rzeczy wpływa na fakt, że historia drukarstwa czy księgarstwa lubelskiego, czy też dzieje lubelskich zbiorów i bibliotek — nie należą do tematów chętnie podejmowanych przez badaczy, a stąd także i skromny stan naszej wiedzy.

Chcąc postąpić przynajmniej krok naprzód, trzeba zatem zacząć od prac przyczynarskich, materiałowych, bibliograficznych, wylawiać i zbierać nazwiska oraz fakty wiążące się z historią książki na Lubelszczyźnie. Jest to oczywiście praca żmudna, ciężka i pochłaniająca dużo czasu, wszystko

(Dokończenie na str. 7)

Ciemnoskóry gentleman niewątpliwie afrykańskiego pochodzenia, w nieganym marynarkowym garniturze, w obuwiu na mikroguście i w świetnie związanym krawacie, wysławiający się z równą labwością po angielsku, francusku jak włosku, z uprzejmym uśmiechem skierowuje moją uwagę na rytualne bębny.

— Oto — powiada — organy służące podczas nabożeństwa naszym duszpasterzom afrykańskim. Później, z rozmów z ludźmi zajmującymi się skomplikowanym zagadnieniem obecnego współżycia z byłymi kolonistami, wynikało, że nowe stosunki wzajemne układają się raczej korzystnie dla obu zainteresowanych stron. Nie tu jednak miejsce dla szerszego omawiania tej sprawy. Wizyta w muzeum dobiega końca. Chciałabym na zakończenie jej kupić katalog wystawy i trochę reprodukcji dla utrwalenia sobie wrażeń!

Przepraszają, ale — placówka, powiada, istnieje w tej formie dopiero dwa lata i nie wszystko jeszcze jest zorganizowane.

Bez katalogu więc i bez reprodukcji, opuszczam ciekawe dla mnie miejsce. A czego nie zauważyłam wchodząc tu — widzę wychodząc: odbijający od ciemnej zieleni biały kamienia niewielki monument z napisem pro memoria:

„A tutti coloro che sono caduti in terra d'Africa nell'adempimento del dovere 11 novembre 1957 an”. (Wszystkim tym, którzy padli na ziemi afrykańskiej wypełniając swój obowiązek).

Aby ostatecznie wyostać się na ulicę, raz jeszcze przemierzmy musimy część terenów ZOO. Przechodzimy znów obok kwatery skrzydlatych, tym razem obok ptaków brodzących. Z daleka

już różnią się, jak bukiet fantastycznych kwiatów, czerwone.

A tu, bliżej — czekajże, stań na chwilę, widział go? Ale czy go słyszysz? Stoi nieruchomy, gładki jak wymodelowany w glinie pociągniętej szaropierlową glazurą, wsparty na jednej nodze, smudze szaropierlowej trzcinie, z drugą nogą podciągniętą pod skrzydło, z szyją odrzuconą w tył, z oczami zamkniętymi, mierzący dziobem nad siebie, w górę, w samo dno nieba odwróconego jak wypolerowana złotolazurowa misa. Dolna połwa zamkniętego dzioba w miejscu złączenia z szyją drży, patrz, jak membrana. Ach, wstrzymaj dech, gru del Paradiso śpięwa!

Wyteżyłam słuch — ale ucho chwytale zaledwie cieni dźwięku, i jeszcze chyba mniej niż to: napomknienie tchnienia wzbudzonego w powietrzu cieniem cienia skrzydła, które nigdy nie znalazło lotu.

Rajski żuraw, gru del Paradiso, śpięwa — jego pieśń nie opuszcza jego ciała.

O, żurawie zamknięte w zoologicznych ogrodach planety Terra!

Chodźmy stąd. Oto brama. I ciemność za bramą. W styczniu zmierzch zapada szybko także w Rzymie.

Ewa Szelburg-Zarembina

Z LUBLINA do DUBROWNIKA

(Dokończenie ze str. 1)

ku 1908 do 1909 przebywa w Rzymie, interesuje się specjalnie wokalistyką, i to zarówno od strony warsztatowej jak i wykonawczej. Ta trzyletnia wędrówka przerwana została przyjazdem do Wilna, gdzie prowadzi teraz Rogowski Szkołę Muzyczną dla Organistów i zakłada pierwszą tutaj orkiestrę symfoniczną, którą dyryguje w ciągu dwóch sezonów koncertowych. Najwiedźniej jednak nie daje mu spokoju myśl o dalszych studiach.

W 1911 r. opuszcza Wilno i udaje się do Paryża. Studiując znów wokalistykę, tym razem od strony również pedagogicznej, u Kritikosa i J. Reszke. Nie długo zresztą, bo w rok później (1912) wezwany zostaje do Warszawy dla objęcia stanowiska dyrektora muzycznego w Teatrze Nowoczesnym. Funkcję tę pełni dwa lata, tj. do roku 1914, kiedy to uległ wypadkowi samochodowemu i wyjechał ponownie do Paryża, tym razem jednak nie na studia, lecz do rodziny.

Okres wojny, to okres jego intensywnej pracy, zarówno twórczej, jak i koncertowej. Jest cenionym i wziętym kompozytorem, w bogatych salach i w sferach artystycznych. Do rzędu swoich przyjaciół zalicza takich znakomitych ludzi, jak I. Paderewski, Anatol France, I. Duncan i in.

W roku 1917 ostre przeziębienie skłoniło Rogowskiego do wyjazdu na południe Francji. W ciągu dwóch lat ciszy i spokoju w Villefranche pracuje intensywnie i w tym czasie powstaje cały szereg utworów symfonicznych („Villa Franca”, „Legenda”, „Suieta białoruska”, „Opowieści romantyczne”, „Obrazy mojej córki”, „Fantasmagoria”), którymi potem Rogowski dyryguje w swoich koncertach w Paryżu, Brukseli, Nicei, Monte Carlo, Warszawie, Łodzi, Pradze i Belgradzie.

Krótko po zakończeniu pierwszej wojny światowej zostaje zaproszony na koncerty do Brukseli, gdzie teatr De la Monnaie zakwalifikował do wykonania jego operę „Tamarza”. Opera ta miała być również wystawiona na zamówienie E. Mlynarskiego w Warszawie, dokąd przybył Rogowski po krótkim pobycie we Francji i ponownym w Brukseli.

Z przyjazdem do Polski wiąże się następny, bujny okres twórczości kompozytora. Pierwszą napisaną tu pracą była „Symfonia ofiarna” w trzech częściach. Symfonią tą dyrygował potem w Warszawie i Pradze. Jednak okres po pierwszej wojnie światowej to okres przede wszystkim prac scenicznych i swego rodzaju eksperymentów. Na-

stępą pracą po „Tamarze” ale napisaną już w Polsce, był balet „Bajka”, z którego jednak kompozytor nie był zadowolony na skutek złego wystawienia w Operze Warszawskiej. W jakiś czas potem powstał następny balet jednoaktowy „Kupała”. Jeżeli wspomnieliśmy o eksperymentach, to miałem na myśli przede wszystkim suitę radiową „Z albumu prababki”, opartą na motywach z XVIII i XIX wieku. Radiowa zaś była o tyle, że Rogowski studiując specjalnie efekty „brzmiące”, przy ich wykończeniu radiowym, starał się o specjalny dobór nie tyle może efektów pojętych w dzisiejszym słowa znaczeniu, ile o jakąś najlepiej pojętą poprawność brzmieniową i uniknięcie brzmienia mogącego zostać zdeformowanym.

Zresztą nie tylko radio było przedmiotem zainteresowań Rogowskiego. Balet kameralny „Z ogrodów Haruna al Raszyda” obliczony był, jak pisze we wspomnianym liście do A. Szymanowskiej, „na telewizję w przyszłości”.

Działalność L. Rogowskiego nie ograniczała się w tym czasie wyłącznie do pracy twórczej w kompozycji. Jakiś czas pracował również jako krytyk muzyczny i felietonista w Kurierze Polskim, a razem z Niewiadomskim A. Wieniawskim założył Stowarzyszenie Kompozytorów Polskich. Ta ożywiona i wszechstronna działalność, przy niezbyt silnym organiamie, odbiła się fatalnie na zdrowiu kompozytora. W 1926 r. wyjechał do Pragi i Belgradu z koncertami symfonicznymi i dla nawiązania wymiany wykonawczych między Polakami,

Czechosłowacją i Jugosławią. Podczas tej podróży przyjechał Rogowski na krótko do Zagrzebia, a potem do Dubrownika. Wracając do kraju, miał — mam wrażenie, podjętą decyzję co do dalszych swoich planów. Dubrownik urzekł go. Kiedy w dodatku wzrosły w Warszawie przykrości osobiste, postanowił nieodwołalnie wyjechać, czy raczej wrócić do Dubrownika. Tu osiadł na stałe i zamieszkał w celli starego, opuszczonego klasztoru, nad samym brzegiem Adriatyku, wśród palm i kaktusów, pod cudownym południowym słońcem. Aklimatyzować się nie potrzebował, bo słońca i ciepła — jak pisze — ląkał całe życie. Potrzebował natomiast przedstawić się jako kompozytor. Stąd początkowy okres twórczości w Dubrowniku idzie w kierunku form muzyki kościelnej, jedynej, jaką można było wykonywać. A więc Misterium na orkiestrę, chóry i solistów pt. „Cud św. Błażeja”, ofiarowane Dubrownikowi na wyłączną własność. Utwór ten zdobył sobie ogromną popularność i obecnie wykonywany jest w całości lub fragmentach, w święto Błażeja — patrona Dubrownika. Za „Cudem” powstały inne utwory pisane dla kościoła katolickiego, cerkwi serbskiej i chóru Serbskich Ortodoksów „Slogi”, którym Rogowski jakis czas dyrygował. Nie zaniedbuje jednak i większej twórczości scenicznej, symfonicznej i kameralnej. Powstaje suita „Les Saisons”, opera „Królówiec Marko”, wiele drobnych utworów. Złazsza z opery był Ro-

Wstawać! Zorza już kamyk w czarę nocy cisną
i w niebie gwiazd ustaje pochod uroczysty.
A jasny Strzelec Wschodu siałka światła błyska,
by za chwilę nią złowił minaret strzelisty.

Rozmarzony na niebie krwawej zorzy czarem,
usłyszałem, jak głosy od gospody płyną:
„Wstawać, dzieci! Niech każdy wychyli swą czarę,
już usycha powoli słodkie życia wino”.

Dawid zamknął już usta. Ale flet słowika
w boskim swoim języku czystą różę kust.
„Wino, wino czerwone!” — ten krzyk ją przenika
i blada, ciało swoje wtedy odczuć musi.

A ta zielen trawników soczysta i żywa,
co zdróż, nad którym marzym, obramienia wieńcem,
przejdź po niej lekką stopą; rzecz bowiem możliwa —
wyrosła ona z ciała, co było młodzieńcem.

Ach, napelnijcie kielich, który nas wyzwala
z więzów wszelkiej obawy, z próżnych żalów sieci.
Jutro? Dokąd to jutro nas zaniesie fala?
Wszystkich na dnie zatraci zgubionych stuleci.

Uczujemy radośnie w uroczystej sali
i kwiaty nas wiosenne dzisiaj cieszyć mogą.
Lecz każdy się pod ziemię niedługo oddali,
by tam sposobie łoża — dla kogo, dla kogo?

Ach, korzystajmy z czasu, którego niewiele,
nim pójdziemy pod ziemię szukać swego końca.
Prochem szarym na zawsze, popiołem w popiele
bez wina, bez miłości, bez śpiewu, bez słońca.

Zarówno do myślących o dzisiaj jedynie,
jak do tych, którzy w jutro myśl kierują biedną,
głos muezyna z wyżyn minaretu płynie:
O, szaleńcy! Dziś, jutro, czyż nie wszystko jedno?

Ach, pójdź! Niech mędrcy wiodą swój dyskurs bez
[końca,

jedno tylko jest pewne, że życie ucieka.
Uwiedły kwiat już nigdy nie zobaczy słońca,
a reszta to jest głupstwo i złuda człowieka.

Jestem tutaj i żyję, lecz po co, lecz po co?
Przybyłem na tę ziemię, jak woda, co płynie,
i odejdę jak wichur dmący przez pustynię,
który sam siebie pyta, dokąd pędzi z mocą.

Kto nieproszony każe grząść nam w ziemskiej glinie?
Kto nieproszony pcha nas tu i tam po świecie?
Wychyli więc kielichy i utopmy w winie
złotą myśl, że jest to bezczelnością przecie.

Pamiętam: kiedyś późną godziną na targu,
gdy garncarz żółtą glinę ugniatł do woli,
glina głosem zamarym żaliła się skargą:
Ach, ostrożnie, braciszku, to boli, to boli!

Napelnijmy kielichy i podnieśmy głowę!
Wiemy — czas nam pod stopą umyka niezłomnie:
dzień wczorajszy już umarł, jutro — zagadkowe.
Cóż z tego: dziś najłodsze, dziś należy do mnie.

Kto z nas pamięta jeszcze tę ucztę radosną,
której wydał, by święcić nasze zaślubiny,
gdym rozstał się z Mądrością starą i żalną
dla jasnej Córy Winnic — pogodnej dziewczyny.

Był to będzie czy Niebył, Padół czy Wyżyny —
zgodnie z logiką wszystko w mym umyśle płynie,
lecz próżno pragnę sięgnąć do głębi przyczyny —
znajduję dno tam kubka swojego jedynie.

OMAR CHAYYAM

Rubajaty

Według francuskiej wersji F. Roger-Cornaza
spolszczył

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Ghiasuddin Abulfath Omar bin Ibrahim Al-Chajjami, znakomity matematyk, fizyk, astronom, wolnomyśliciel i klasyk poezji perskiej, ur. w pierwszej połowie wieku XI, zmarł w r. 1123. Autor epigramatycznych czterowierszy, zwanych rubajaty. Zachód zawdzięcza znajomości twórczości Omar Chayyama przede wszystkim wyborowi wierszy jego, przełożonych na język angielski w drugiej połowie ubiegłego stulecia przez poetę Edwarda Fitzgeralda.

Wino — mędrec: w dyspacie szaleń wag przechylili
i sześćdziesiąt dwie sekty logicznie omota,
alchemik, który umie w jednej tylko chwili
olów życia naszego zamienić na złoto.

Wszystko wewnątrz i zewnątrz, w dole i nad nami
to tylko jest latarni magicznej złudzenie.
Słońce — świecą w środku, my zaś wszyscy sami
błąkami się dokola jak milczące cienie.

Dopóki wzdłuż wybrzeża zapach róży płynie,
wraz ze mną nurząj wargi swe w wino rubinie.
A gdy śmierć ci swój napój chłodną ręką poda,
wypij go z lekkim sercem mówiąc: Trudno — zgoda.

Życie — to szachownica tylko dni i nocy,
każdy z nas w ręce Losu figurka szachowa,
zarówno pionek lichy, jak król w jego mocy,
suwa nami, zabija i w pudełku chowa.

Pilka leci do góry, piłka spada na dół,
z woli tego, co rzuca, mknie tam i z powrotem.
Ten, kto rzucił tu ciebie na ten ziemski padół,
wie, po co to uczynił, on jeden wie o tym.

Przed tą czarą ogromną, którą niebem zylemy,
co namiotem za życia jest nam i po śmierci,
nie wznos rąk swych błagalnie: twój głos dla niej
niemy,

Wiem dobrze: owo światło, które prawda budzi,
co miłość lub nienawiść rozpala nam w oku,
lepiej nieść do gospody z sobą między ludzi,
niżli zgubić w świątyni je samotnej mroku.

O ty, który człowieka ulepił z gliny
i węża umieścił też za raju bramą,
jakkolwiek wielkie byłyby człowieka winy,
przebacz jemu i on ci przebaczy tak samo.

KUZA-NAMA

Śluchaj, jeszcze coś powiem. Kiedyś, gdy wieczorem
róg księżyc przybierał w końcu Ramazanu,
garncarza sędziwego odwiedziłem nore,
gdzie przede mną rozłożył się ludek gliniany.

Rzecz dziwna, pośród garnków tych zrobionych z ziemi
jedne mówić umiały, inne były nieme.
Nagle jeden z nich krzyknął jak usta żywymi:
„Cóż jest garncarz, coż garnek? Nie wiemy, nie
wiemy!”

A inny znów się żalił: „Próżno na ten padół
wyciągnięto mnie z ziemi, gdzie jej podkład tworzył,
skoro ten, kto mi dzisiaj nowe kształty nadał,
wkrótce znowu skorupy me do ziemi złoży”.

Inny mówił: „Naczynia, z którego miód płynie,
nigdy przecież nie stłucze najposotniejsze dziecko.
Czy ten, co tak miłośnie ulepił mnie w glinie,
może stłuc mnie i cisnąć na śmietnik zdradziecko?”

Nikt nie rzekł na to słowa, lecz ze swojej strony
po chwili jął się skarżyć źle zrobiony garnek:
„Śmieją się ze mnie wyższe; jestem pokrzywiony,
śnać drżała ręka mistrza, gdy dzieło tak marne”.

Inny twierdził: „Ten garncarz nas podobno zgubi,
mówią, że twarz ma czarną, niby mrok piekielny,
że zamierza nas poddać jakiejś ciężkiej próbie;
z tym wszystkim może jednak jest to człowiek
dzielny”.

A inny zaś wzdychając tak się znów wynętrzał:
„Me prochy się zszuszyły w zapomnianej głębie,
lecz niech moszcz winny wsączy się do mego wnętrza,
zobaczycie, jak przyjdę powoli do siebie”.

Gdy taki z sobą dyskurs te naczynia wiodły,
jedno w niebie dojrzało już ostrze księżycy,
wtedy wszystkie krzyknęły: „To podróżny godło,
już jedzie po nas mulnik i jego oślica”.

Ach, moszczem gron nabrzmiałych przywrócić mi
życie!

Skąpiec w winie kipiącym me znikome ciało!
Całunem winorośli okręćcie sówicie
i niech nad snem mym czuwa ogród wspaniałość.

Wówczas prochy me, chociaż pod ziemią się skryły,
roztoczą dookoła takie słodkie wonie,
że wierny, przechodzący obok mej mogiły,
upojony z rozkoszą w swe płuca je wchłonie.

Bogowie, przed którymi ukłękła ma pycha,
wyrządzili krzywd w oczach mi ludzkich niemalo:
utopiłem swą sławę gdzieś na dnie kielicha
i sprzedałem za cenę ją piosnki zuchwałej.

Poprzysięgłem skruszony uczynić pokutę,
lecz pewno byłem wtedy winem zamroczony,
bo wiosna zaśpiewała na swą słodką nutę
i skruczę mą rozwiała w cztery świata strony.

Choć wino w niewierności jest swojej uparte
i zabrało cześć moją, zapytuję szczerze:
czy winiarz może kupić coś, co więcej warte,
niż to, czego w pieśniach swych zazdrośnie strzeże?

Niestety! Trzebaż było, aby wiedla wiosna,
by tak prędko ulatniał się zapach młodości?
Słyszysz, w krzakach słowika tryska pieśń radosna.
Skąd przybywa tu do nas? W jakie leci włości?

Miłości! Gdyby kiedyś, gdzieś, jakoś przejęto
wydarzeń naszych smutny plan od Przeznaczenia,
ach, z jakąż byśmy darli go wargą zaciętą,
by go według naszego ułożyć pragnienia.

Miłości księżyc, który nigdy nie zachodzi
i księżyc ten na niebie, co dziś patrzy we mnie,
ileż razy się będzie snuć po tym ogrodzie
szukając mnie tu kiedyś daremnie, daremnie!

A ty, gdy wiosny kiedyś wezwie cię orędzie
i uświetnisz obecność tutaj innych gości,
przechodząc obok miejsca, gdzie mnie już nie będzie,
strąć z czary kilka kropel, by ucził me kości.

gowski bardzo zadowolony. Piszę o niej: „...jest oparta na wspaniałych i przebogatych pieśniach bohaterów południowych Słowian. Każda chwila jest obliczona starannie, by nie nużyła słuchaczy. Sceny dramatyczne, liryczne, groteskowe, światła realny i fantastyczny, folklor słowiański oraz turecki idą w nieprzerwanym kalejdoskopie dając radość oku”.

Niezależnie od komponowania pisze Rogowski większe i drobne utwory literackie, m. in. powieść „Jak istnieć przestałem”, nowela, opowiadania, pisze przewodniki po Dubrowniku i... zajmuje się okultyzmem.

Ogólny dorobek twórcy Ludomira Rogowskiego jest nie tylko bardzo duży, ale zarazem zdumiewająco różnorodny. Prócz wymienionych dzieł scenicznych wymienić należy „Serenadę” i „Wielkie zmartwienie małej Ondyny”. Z utworów symfonicznych: 7 symfonii, „Pogańskie wizje”, „Błjeszczy morze”, „Dubrowackie Impresje”, „Legende Celtycka”, „Koncert Bucolique”, „Fantasmagories”, „Veni Creator”. Dalej 2 kwartety, szereg pieśni solowych, choralnych, utworów fortepianowych, utworów kameralnych o różnym składzie instrumentów. Z utworów literackich powieść „Jan Wichura”, opowiadania „Trzy po trzy”, „Mój klasztor — wspomnienia”, szereg prac publicystycznych z zakresu muzyki itd.

Mimo tak intensywnej pracy twórczej, koncertowej i organizacyjnej, Rogowski nie tylko nie był dostojny, ale wręcz przeciwnie, niekiedy przy- mierał głodem. Pasja twórcza, złaszcza

czu w ostatnim okresie, nie zostawiła mu ani chwili wolnego czasu. Oprócz krótkiego okresu, w ciągu którego dyrygował chórem „Sloga”, sporadycznie tylko udzielał lekcji śpiewu.

Liczba utworów wydanych jest tak znikoma, że nie mogły one stanowić żadnego źródła dochodu. W opuszczonym klasztorze wiódł życie pustelnika, nie unikając przyjaźni, ale stroniąc od wszelkich oficjalnych zaszczytów. W „Moim klasztorze” pisze: „Moja izba jest to niepełny prostokąt o murach metrowej grubości, około 5 m. długo, 5,5 m. szerokości, 4 m. wysokości. Na prawo od wejścia rodzaj stołu, dość wysoko wmurowanego w ścianę, oraz szafka na tym stole, istniały już, gdy tu nastał. Pod tym stołem skrzynia bardzo stara, mocna, już stoczona przez robaki, ale różnieta pięknie, jest mi stałą radością oczu oraz pomocą w rozmieszczaniu sprzętu kuchennego i zapasów. Na szafce w spizarni stoi kilka garnków glinianych o pięknych formach, w których przechowuję kaszę i ryż... Za kuchnią kącik z dziwnym wyrzuceniem w murze. Stoi tam sterta waliz... nad nimi stary łowiecki fartuch mniejsze się jaskrawością barw. Następnie idzie sypialnia: wielkie łożo pokryte pasiakami siedleckim... Za łożkiem sterczy szafa. Wielka, brzydka, jeszcze nieomal biała. Za szafą wieszak, stołek z rupieciarnią i lustro późnoempirowe. Pod oknem w kierunku wnętrza pokoju stoi biurko.

Róg pokoju zajmuje biblioteka... Sterta książek opiera się o pianino zasłaniając drzwi pokoju przyległego, z którego często dmucha ostry wiatr

przez szpary w drzwiach. Pianino stare, spracowane, ale strój trzyma zadziwiająco dobrze — znaczny towarzysz mojej samotności. Gdy siedzę przy biurku, widzę morze i oddaloną wyspę św. Andrzeja poprzez liście palm i część wielkiego, starego cyprysu”.

Rogowski podróżował niewiele, od- kąd zamieszkał w Dubrowniku. Dwa razy tylko wyjechał z koncertami do Belgradu, raz na krótko do Warszawy. Właściwie tylko tyle.

Dubrownik ukochał na równi z klasz- torem od polskiego niemal zetknięcia, ale o Polsce nie zapomniał nigdy, dając temu wyraz wielokrotnie, aż do ostatniego swojego dokumentu, którym był testament, podpisany: „Rogowski — Polak”.

Na dwa lata przed śmiercią przy- jął obywatelstwo jugosłowiańskie, do czego był zmuszony prawdopodobnie względami materialnymi.

Od dawna chorując na serce, Ludomir Rogowski zmarł 13 marca 1954 r. Uroczysty pogrzeb, urządzony na koszt państwa, ścigał liczne grono przyjaźni kompozytora. W trzy lata potem, 3 marca 1957 r. odbyło się przeniesienie ciała do nowego gro- bowca, który znajduje się obecnie na cmentarzu Boninowo.

Wszystkie dzieła, przeważnie rękopi- sy, przekazane zostały testamentem na własność Archiwum Miejskiemu w Dubrowniku. Niestety, nie są to wszystkie dzieła Rogowskiego. Sporo ich zaginęło albo rozproszonych jest po różnych miastach Europy.

Ludomir M. Rogowski jest kompo- zytorem o niewątpliwie ciekawej syl-

wecie. W swoich podróżach po Euro- pie, stykając się wielokrotnie z impres- sjonizmem, nie ustrzegł się od pew- nego wpływu tego silnego kierunku. Niemniej pozostał on twórcą o kon- sekwentnej, własnej drodze. Jego credo, i to od strony warsztatowej i w pewnym sensie propagandowej, wyra- żało się hasłem powrotu do „czystej słowiańskości” sztuki. Wzorami miała tu być twórczość Smetany, Musorg- skiego, Dworzaka, Borodina, Wieniaw- skiego. Hasła temu dał Rogowski naj- mocniejszy wyraz w „Odezwie do ko- legów muzyków wszelkiej braci słow- iańskiej”. Ale przede wszystkim rea- lizował je konsekwentnie w swojej twórczości, używając jako materiału dźwiękowego głównie starych skal muzycznych.

W Polsce twórczość Rogowskiego po- zostaje aż do chwili obecnej prawie całkowicie nieznaną. Złożyło się na to wiele przyczyn, m. in. właśnie fakt wyjazdu z kraju i... może samo uspo- sobienie Rogowskiego. Nie był tym, któ- ry potrafił i chce walczyć o uznanie. Kilkakrotnie odmawiał przyjęcia wy- sokich odznaczeń państwowych, nie zważając nawet i na to, że poprawi- loby jego trudną sytuację materialną. Dobrowolnie wyrzekł się roli świa- towca, żeby tam, w Dubrowniku, pro- wadzić życie mnicha i pustelnika, za- patrzony w jedyny ideał, w swoją sztukę. Sztuka ta — jeszcze jeden z wielu rozproszonych po świecie skar- bów kultury narodowej — czeka na przyznanie jej zasłużonego miejsca, przede wszystkim w Polsce.

Zbigniew Penhski

LUBELSKIE LISTY Felicjana Faleńskiego

MARIA GRZĘDZIŁSKA

Mało się pisze o Faleńskim, toteż i biografia jego ma sporo luk. Z monografii Wiktora Przeclawskiego wiadomo było o dłuższym pobycie poety w Szczebrzeszynie, ale dopiero znajdująca się w Bibliotece Jagiellońskiej korespondencja z Marią Trębiczką wyjaśniła związki jego z Lublinem. Osiadła tu po owdowieniu Tekli Faleńska, macocha Felicjana, kochająca go i kochana przezeń jak matka. Do Lublina zajeżdżał więc jak do siebie, dom macochy był jego domem rodzinnym, z którego pisywał długie listy miłosne i dokąd otrzymywał jeszcze dłuższe odpowiedzi. Panna Trębicka w miarę wzrostu uczuć do swego wybranego pisywała coraz drobniej i coraz niewyraźniej, jeden zaś z ostatnich listów napisała... w kratkę. Ten autentyczny romans epistolarny przepłatają interesujące nas uwagi o Lublinie.

Dni ciepłe, błękitne, złote. [...] Milczący urok wieków zamierzających, woń czasów, które nie wrócą, lepszych zapewne, bo już ich nie ma, owiewa mię zewsząd atmosfera poezji. [...] Miejsca, gdzie przebywałem teraz, są miejscami wspomnień — życie obecne wydaje się tu anachronizmem. Dziwnie bo to miasto. Ku północy młode całkiem, ruchliwe, hotelowe, pałacowe, Krakowsko-przedmiejskie niby — mała Warszawa; w środku trybunalskie jak za starych czasów; a dalej gród poważny, zaciszny, ciemny, spiętrzony, z całym swoim życiem średniowiecznym, z pleśnią i zaduchem nie dla dzisiejszych już piersi. Wąskie kamienice z kamiennymi gankami o dachach ząbkowanych w monachijskie gzemsy, sklepione bramy z ciężkimi wieżami, obrazami i posągami świętych, poważne świątynie pełne średniowiecznych grobowców, ciemne uliczki boczne po schodkach, i w głębi zamek pomiędzy parowaniami na wzgórzu, pełen wieżyczek i narożników, ponajęzany blankami, z groźną basztą w środku. Warszawa to jedna z sióstr najmłodszych — ileż widziałem już starszych od niej. Ile razy zapędzę się tu poza miasto, ku wioskom, odległym dziś, a które niegdyś stanowiły jego przedmieście, wszędzie napotykam tylko ciąg jego dalszy. Ileż opustoszałych kościołów, ileż gmachów, ile klasztorów, poprzerebianych dziś na fabryki i składy w tym wieku praktycznym — ileż zwalisk opierających się dłoni czasu i upartych jeszcze [...] dłoni człowieka, szukającego korzyści tam nawet, gdzie jest nieodłączną od świątokrądzwa. [...] Po ogromnych sklepionych korytarzach klasztornych — kupy żelastwa, soli, śledzi i cuchnącej starzyny; wśród naw kościelnych, do których wnętrza wbiegasz wzrokiem poprzez resztki gotyckich okien o okrągłych szybkach — składy skór lub maki; beczki oleju i smółki — pod arkadami ścian, z których powydzierało ołtarze i grobowce. Im szanowniejszy kąt, im romantyczniejsza rozwalina, tym zawziętsze sklepiki z mydłem i solą, starymi chodakami i szkłem, niemi, łojem, zapalkami i szuwaksem.

(List 59, Lublin październik) — [1856]

Jak wiele wiewu romantyków starszych i młodszycy skłonny jest Felicjan wszystko co stare nazywać gotykiem i zaliczać do średniowiecza. Nie poznał się też, że zamek lubelski to jednak fałszowane brzydactwo, ale nie miał za sobą, niestety, kształcącej podróży po Europie. Późniejszą też rzeczą są dobre podręczniki historii sztuki, a pierwsze „gotyki” fabrykowane w XIX wieku osadzono także dopiero później. Lublin zajmuje Faleńskiego jako miasto stare, z widocznymi znamionami upadku. Samotnie krąży po mieście, patrzy i marzy, a wreszcie po dłuższych listownych wyjaśnieniach i perswazjach zabiera Marię na imaginowaną przechadzkę:

A teraz znowu, za moje własne smutki z powodu strapienia mojej pani i jej obaw serdecznych, które poczułem aż do głębi duszy, — co ja jej zrobię za karę? Oto podam jej rękę i będzie musiała rada czy nie rada, pójść z mną po rozwalinach pomieszanych ze śmieciškami, po szczątkach przeszłości porażanych żydowskimi sklepikami. — Ale oto zał mi zagnała moją duszę kochającą, mego rozumnego serca, mądrości mojej dantycznej, — pójdziemy lepiej oglądać coś godniejszego jej wzroku. Może grobowiec Piotra Kochanowskiego, który cudowną polszczyzną przyswoił nam Jerolimę Turkawatową i Oszałatego Orlanda, — może pomnik połączenia Polski z Litwą! [...] Więc idziemy na Rynek Trybunalski i zatrzymujemy się przed kamienicą zakrawającą na pałac [...] Była własnością niegdyś rodziny Sobieskich, jak świadczą rzeźby sute ponad głównymi drzwiami, armatury i herby na gzemach i korniszach. Ozdoby tu surowe mocno. Stanowią je zewsząd lby pohaciów pomieszane z buńczukami, potrzebne jatagany, turbany i półksiężycy. A w przerwach medaliony z popiersiami tego lwa

groźnego, co to był najniższym służeczką swojej Marysieńki. [...] Oto wchodzimy w sień przestronną sklepioną po klasztornemu, w której drzwi na prawo. Ta poważna osoba ze słodkim uśmiechem, piękna jeszcze, choć już nie młoda — to moja matka; ta mała roztrzępiona dziewczyna z rozumnymi oczami — to moja siostra; ta znowu cierpliwą osobką, która uszczęśliwia mię wspieraniem się na moim ramieniu, a która raczej mnie prowadzi, niż ja ją — to jest Maria mojej duszy... — ale gdzie się podział wartogłów, który zapoznaje z sobą te drogie sercu jego osoby? — oho — już po nim. Zachodzące słońce uderzyło mi na twarz różowymi promieniami pomieszanych z cieniem od akacji — więc poleciał do swojej pani, bo czas już pójść z nią na przechadzkę w pola, gdzie jest ciższy, gdzie spokoju wiele, gdzie i smutno, ale słodko smutno — bo z nią razem.

(List 59 cd.)

Do przebywającej w Stryhowie pod Kobryniem Marii Trębickiej w istocie nieprędko Felicjan miał się wybrać. W lecie był w Warszawie z nią razem i tam zamienił obrączki. Ona wróciła na wieś, a on pozostał przy chorym przyjacielu, Ignacym Komorowskim, twórcy ślicznej melodii do *Kaliny Lenartowicza*. We wrześniu 1857 roku był z powrotem w Lublinie.

Na razie siedział tam samotny, matka i obie siostry przyrodnie były jeszcze na wsi w rodzinny w Hrubieszkim, gdzie i on poprzednio spędził zimę. A tymczasem w Lublinie była nie lada uroczystość.

Muszę się też pochwalić, jaki się zrobiłem praktyczny. Onegdaj na przykład cały wieczór pilnowałem świec, które się paliły w oknach z powodu iluminacji. Byłem sam jeden na cały dom, bo rzecz naturalna, że służący poszedł na widowisko. Iluminacja ta miała miejsce z powodu spodziewanego przyjazdu Cesarza, który tu nawet noc przepędził. Co się też stary Lublin nie naskrobał, nie nabiełił i nie naumiatał na te kilka godzin. A jak się oświecił! Poszedłem oglądać to, jak już się świece wypaliły ze szczętem. Chwalono się z tego już na parę tygodni naprzód, ale nie było z czego się chwalić. Wszystko było w oczu partykularzem, nigdzie nie było sensu ani gustu. Pomiędzy innymi np. pomnik połączenia Litwy z Polską (jest to obelisk spiżowy stojący na wzgórzu) cały pokratkowany był w lampiony i służył za transparent. Według mnie najpiękniejsze było to, na co nikt nie zwracał uwagi. Mianowicie różowy odblask całej tej masy światła na niebie zaciągniętym jednostajną dżdżystą powłoką. I Brama Krakowska [...], która trzymana w ciemności od dołu, a dopiero od wierzchniego ganku oświetlona w sposób niewidzialny — wyglądała jak świątynia zawieszona w powietrzu.

(List 106, we wrześniu 1857)

W oczekiwaniu na rodzinę dogląda Felicjan domowych porządków, będąc zresztą niezbitnie pewnym, że macosze i tak się to nie spodoba, że sama weźmie się do poprawiania tego, co już zrobiono i że zachoruje ze zmęczenia. Widocznie takie zapędy ambitnych starszych pań domu są wieczne. Tymczasem przyszła smutna wiadomość o śmierci Ignacego Komorowskiego. W parę lat po nim miał umrzeć jego brat Józef, aktor. — Samotność zaczyna dokuczać poecie, któż zresztą lubi czekać? W projektach rodzinnych jest zjazd na Boże Narodzenie na wsi. Tylko jeden raz — pisze Faleński — spędził święta poza rodziną: „byłem wtedy tam, gdzie noga moja nigdy postać nie powinna była — zgadniesz łatwo, gdzie to było”. Ostrożnie to napisane, ale można się domyślić, że było dość dawno. Korespondencja musiała być bardzo legaina, między Stryhowem a miastami Królestwa dopiero co zniesiono granicę i listy, jeżeli nie wylegują się w urzędach pocztowych, mogą doznawać wcale nie pożądanego losu. Felicjan ma kłopoty z zameldowaniem się w Warszawie, nie może otrzymać paszportu za granicę. I miejsce, w którym nigdy jego „noga postać nie powinna była” — to chyba ten przybytek, gdzie (jak powiada w pamiętniku) tak dobrze udawał głupca, że mu rzeczone „bydle” i kazano pójść precz.

Faleńskiego nie przejmują specjalnie przejazd Aleksandra II i gdy czyni uwagi o przesadnym i niegustownym uświetnieniu najjaśniejszej wizyty, możemy między wierszami wyczytać inny nęsmak. Ale artysta umie dostrzec estetyczną stronę nocej iluminacji.

Rodzina zjechała dopiero na dni zadusze. W listopadzie wypadło Felicjanowi towarzyszyć siostrze do Resursy, gdzie kapela była „amatorska”, a z sześćdziesięciu dam tańca spragnionych połowa przyrażała do krzesel z braku danserów. „W ogóle przynależało trzeba, że Lublin bawiający się zabawnym jest bardzo”. — „Wypadło mi dzisiejszego wieczoru zrobić koncesję z mojej osoby na rzecz pewnego domu, w którym się można nudzić do upodobania. Niech Bóg nie pamięta tym, co tam grali i śpiewali. Bodaj przepadły wieczorki, a z nimi granie bez krzyków i taktu, oraz śpiew, w którym akompaniament stara się dopiero pojąć głos w małżeństwo”. I zaczyna pomstować po ta edukację panien polegającą na „przymuszaniu się do talentów”, nieraz połączonej z wielkimi ofiarami ze strony rodziców, po to, by „zniechęcać swoich słuchaczy do Szopena”. Rzeczywiście muzykalny Felicjan nie miało na wieczorku cierpieć męki.

Tej samej jesieni odbyła się w Lublinie konsekracja ks. sufragana Baranowskiego, połączona oczywiście ze zjazdem kleru.

Lublin jest pobożny, ale główną charakterystykę (sic) jego stanowi ciekawość. Jakkolwiek wstęp do kościoła wzbroniony był ludowi (!) — to jednakże ścisł był tak niestychany, że krzeselka, które matka moja kazała sobie zanieść dnem wprzód [...] wrócić nadz naręczem drzazg, dobrych tylko do spalania. Służąca [...] zapewnia, że stało na każdym z nich najmniej po pięć osób, i to jeszcze mężczyzn. Właściwie nawet w zebrańiu tym (że

S A F O

w przekładach

JANINY BRZOSTOWSKIEJ

* * *

Zaszedł już księżyc i zgasły
Plejady, północ oto,
godziny przemijają
a ja dziś leżę sama...

* * *

Dla nas, gdy żyliśmy tu jeszcze razem,
boginią byłaś Arignoto,
i pieśni twe nad inne nas cieszyły.

Jaśniejiesz dzisiaj wśród lidyjskich kobiet
jak nocą, po zachodzie słońca,
rózanopalca światłość księżycowa

zaćmiewająca gwiazdy, i promienie
śląca na gorzkie fale morza,
i na kwiatami zaścienione łąki.

Rosa lśni w płatkach rozchylonych róż
i płynie słodki zapach miodu
od koniczyny i kwitnącej trawy...

Wciąż niespokojna, tu i tam się błąkasz,
najmilszą Attis wspominając,
i jej czulości spragniona serdecznej.

Tęskne wezwania biegną w naszą stronę,
ale my głosu nie słyszymy...
noc milczy ponad morzem...

nie powiem inwazji), stosunek katolików był może najmniejszy. Rosjanie, Lutry, Kalwini (których tu jest jak mrowia), z lornetami jakby w teatrze, stanowili nieledwie przewagę.

(List 126)

Oburza się tedy poeta na ten dziki ścisł i pyta, czy to nie obraza boska znajdować się w tłumie, być depytanym i „szturganym”, a zatem dla własnej obrony też to samo robić. Taka to ciekawość lubelska, żywiąca się w braku czego innego wszelkimi widowiskami i paradami kościelnymi, urzędowymi itd. Nie tylko miasto jest tak ciekawe, na przejazd cara zjechało się z okolicy obywatelstwo i miejsce zabrakło w hotelach. A cóż ma począć ktoś, kto dopiero co do Lublina przybył: jak go lustrują, jak o niego głośno wypytują, kto zaszczepił? I to wszyscy, „poczawszy od Zyda z zapalkami i dzieciaka bawiącego się nad rynsztokiem, aż do Gubernatora i damy jak najlepszego tonu (tutejszego)”. Stąd o wiele żywcilwiej odzywa się Faleński o mieście niż o publiczności. Żał mu marniejących resztek wielkiej historii Lublina, a oburzają go plotki i waśnie jakichś dwu, bliżej nie określonych obywateli. Chodzi zapewne o liczniejszy, ale mniej ukształcony odłam mieszczkański i nieliczną grupę mocniejszą „głową i wychowaniem”. Nie było widać ciekawe miasto, którego ludność kiedyś, kiedyś wynosiła — jak pisze — 72.000 mieszkańców, a dziś spadła do 20.000. I wraca jeszcze raz do interesującej go, choć może nie tak ściśle sprawy — kurczenie się miasta. „Mnóstwo gmachów leży poza obrębem miasta dzisiejszego”, wioski leżały ongi na gruntach miejskich, „przegradzają je łąki i pola, niegdyś może ogrody. Miejscami kępy drzew starych, łańcuchy ruin, sypane wzgórza i wały”. Trwa jeszcze proces unicestawiania przeszłości: „Niedawno zburzono kościół S. Jana (najstarszy w mieście), bo się już walił poczynał. Spoczywały tam zwłoki Klonowicza — a jednak poeta nie miał nawet grobowca”.

Odbywający dyliżansem podróż z Warszawy do Lublina, nie może jeszcze Faleński się spodziewać, że miasto pocznie znów wchłaniać te dalekie wioski, może by zresztą, przewidując przyszłe zmiany, zaczął sarkać na praktyczność idących czasów. On patrzył w przeszłość, ale nie tę bolesną i niesławną sprzed wieku. Nienawidził sarmackich gawęd u współczesnych pisarzy, twórców Rzewuskiego i Chodźki. Dla niego przeszłość to Klonowicz, Jan i Piotr Kochanowscy. Ostatni wielki jej błysk widzi w zwycięstwach króla Jana, co mu nie przeszkadza „lwa groźnego” widzieć „służeczką Marysieńki”. I tak możemy przypuszczać, że właśnie impresje lubelskie złożyły się na genezę pysznej gawędy o królu Sobku:

Wtem ta królowa wielce słabowita:
„Jak się masz, serce?” — słabym głosem pyta.
„Ha! mam się z pyszną, tak jak groch przy drodze”.
„Fe! brzydki wyraz” — rzekła słowem miłym.
Król stracił rezon. „Jak chciałś, zrobiłem.
Kazałaś bronić Wiednia. Wiedzi o to
Swobodny. Chciałaś, bym się bił z ochotą,
Nie oszczędziałem ni głowy, ni piersi...”
Na to mu rzekła Marysieńka: „Merci”.

(„Jako król Sobek, przegrawszy doma, wygrał pod Wiedniem”)

Gdy nadeszła zima, Faleński opuścił Lublin i udał się do Szczebrzeszyna. Dużo byłoby do przeczytania o tym miłym miasteczku i jego malowniczej okolicy w listach do wybranki serca, ale to już inna i poza tym długa historia.

JESIEŃ W OPOLU*

STEFANIA
PODHORSKA - OKOŁÓW

Z szafirowego nieba na park w Opolu lało się żywe złoto. Przesiane przez gęste gałęzie lip kapalo bursztynowymi kropkami liści na szmaragdową zielen gazonów. Powietrze było przejrzyste i nieruchome jak kryształ. W głębokiej ciszy dochodziły tu z folwarku miarowe i głuche uderzenia cepów: to pańszczyźniacy młóćili pszenicę na toku dworskiej stodoły. Czasem o ubitą ziemię alei stuknął kasztan i pękał, błyskając spod zielonej kolczastej powieki brunatną żrenicą. Piękna jesień była tego roku w Opolu.

Emir przyjechał konno z Sawrania, żeby zobaczyć się z żoną i z dziećmi. Tymczasem Rozalia wyjechała w sąsiedztwo, zabierając ze sobą córkę Kalkstę i najmłodszego syna Witolda. Z dwoma starszymi przechadzał się Emir po parku, mijając rozrzucone gdzieś niedługo glazy z wyrytymi na nich tkliwymi sentencjami, wzywającymi do rozmyślań na łonie natury, — i marmurowe pomniki nad zwłokami ulubionych piesków jednej z poprzednich dziedziczek Opoli. Zdobiły je wierszowane napisy w rodzaju: „Tu leży mój Lizek ulubiony. Winnam mu niejedną dzień mile spędzony”. Albo: „Ach! tu leży moja Lulu! Nie ukryję mego żalu”.

Napisy te śmieszyły serdecznie hrabinę Wacławową, która nie rozumiała sentymentu do zwierząt, a nawet za



dziwactwo poczytywała rozniżowanie się Emira w koniach arabskich.

* Z książki „Bohater wielkiej przygody”, która ukazuje się nakładem „Iskier”.

K r o k naprzód

(Dokończenie ze str. 4)

jednakże wskazuje na to, że sytuacja w zakresie badań nad omawianymi problemami ulegnie szybko poprawie.

Co skłania do tego optymizmu?

Odpowiedź na to pytanie daje przede wszystkim wydany ostatnio nakładem Ministerstwa Szkolnictwa Wzwyższego Zeszyt Próbnym „Słownika Biograficznego pracowników książki polskiej”.

Praca ta — to wynik badań prowadzonych przez osiem zespołów przy bibliotekach uniwersyteckich: w Lublinie, Łodzi, Krakowie, Poznaniu, Toruniu, Warszawie i Wrocławiu. Zeszyt próbnym „Słownika” jest potraktowany jako materiał do dyskusji, a cele tego wydawnictwa są godne najwyższej pochwały. Ambicją edytorów jest bowiem systematyczne wydawanie poszczególnych tomów „Słownika”, w którym znalazłaby z czasem miejsce jak najpełniejsza bibliografia drukarzy, ilustratorów, bibliofilów, bibliotekarzy, księgarzy i innych ludzi, którzy mają związek z książką (oczywiście wyłączone autorów) — od czasów najdawniejszych aż do współczesnych. Ze materiału jest to niezwykle bogaty, świadczy fakt dysponowania przez redakcję 8 kartotekami materiałów bibliograficznych z 10.000 nazwisk i 70.000 pozycji bibliograficznych. Zeszyt próbnym zapowiada, że „Słownik” będzie wydawany systemem holenderskim, tzn. że każdy tom stanowi odrębną całość, przy czym materiały są układane w porządku alfabetycznym od A do Z, w następnych zaś tomach znajdują się także indeksy do poprzednich tomów.

Oczywiście jest dla nas szczególnie ciekawe, jak w „Słowniku” wygląda Lubelszczyzna, tak od strony materiałów, jak i udziału w pracach redakcji naszych badaczy.

Z całą satysfakcją trzeba stwierdzić, że w obu przypadkach Lublin zdał egzamin.

Jeśli chodzi o dorobek naszych pracowników, wypada odnotować, że 5-osobowy zespół w składzie: kierownik

— dr Stefan Wojciechowski (UMCS), członkowie: Sabina Horyszewska (UMCS), Tadeusz Smółka (UMCS), Maria Gawarecka (Bibl. im. H. Łopacińskiego) i Witold Nowodworski (KUL) — dał się wyprzedzić tylko Wrocławowi i Łodzi — gdybyśmy brali pod uwagę liczbę współpracowników „Słownika”. Jeśli zaś zatrzymamy się przy liczbie opracowanych haseł, powód do satysfakcji będzie jeszcze większy. Z Lublina wyszło 10 prac, przy czym S. Wojciechowski opracował 4 hasła, T. Smółka — 3, zaś M. Gawarecka, P. Gdula i S. B. Horyszewska po 1. Trzeba do tego jeszcze dodać 5 sylwetek bibliotekarzy czy drukarzy lubelskich, których opracowali badacze z innych ośrodków. W sumie — na 86 haseł, które znalazły się w Zeszycie próbnym „Słownika”, aż 15 dotyczy Lublina.

Wśród sylwetek pracowników książki polskiej działających na terenie Lubelszczyzny opracowane zostały następujące pozycje: piapiernicy — Jan Fajfer, Tomasz Wąsik, Adam Wąsowicz, Jerzy Förster — księgarz, Fabian Sebastian Drelinkiewicz — inroligator i księgarz, Jan Karol Pruski i Władysław Kossakowski — drukarze i wydawcy, Andrzej Edward Koźmian, Jakub Michałowski, Józef Muczkowski i Roman Aleksander Jaworowski — bibliofile i bibliotekarze.

Ponieważ wydawcy proszą o jak najwyższy udział w dyskusji nad Zeszycem próbnym, warto zatem zwrócić uwagę na dwie sprawy, które dotyczą formy „Słownika”.

Pierwszym wnioskiem jest propozycja zrewidowania systemu skrótów, których wykaz zajął aż 7 stron, przy czym wiele jest tutaj pozycji do zakwestionowania (np. takie skróty, jak: Ze Skarbcza Kult., fotogr., nadb., pow. itd. — są przecież zrozumiałe dla wszystkich i nie trzeba ich objaśniać).

Wydaje się, że jakkolwiek forma „Słownika” w zasadzie wyklucza wprowadzenie ilustracji, to przecież warto chyba pokusić się o fotografie opracowanych drukarzy czy bibliofilów, a nawet o fotografie ważniejszych ich prac itp. Przecież nie ma w tej chwili innego wydawnictwa, które mogłoby się tymi zagadnieniami zająć. Jasną jest rzeczą, że nie przy wszystkich (przeciwie — tylko przy niektórych) pozycjach można będzie znaleźć fotografię czy też warto będzie dać jakąś reprodukcję. Wprowadzenie tej innowacji chociażby w bardzo cząstkowej formie, podniosłoby jednak wartość „Słownika” i wyróżniło go wśród innych wydawnictw.

Roman Rosiak

* Słownik biograficzny pracowników książki polskiej, Zeszyt próbnym, Łódź 1953, nakł. Ministerstwa Szkolnictwa Wzwyższego, s. 135, 5 nrb.

Dawno już wypaliła się wzajemna młodzieńcza namiętność tych dwójga ludzi, a Kongres Wiedeński pogłębił jeszcze między nimi przepaść duchową. Wspomnienia dziecięce Rozalii zostały w jej sercu osad wstrętu do wszystkiego, co technologicznie. Nie nawidziła Napoleona, jako parweniusza i uzurpatora. Kongres Wiedeński powitała z radością, gdyż stanowił on dla niej restytucję społecznego ładu i politycznej praworządności.

Natomiast Emir, wychowany w ideałach wieku oświecenia, widział w uchwałach Kongresu ostateczne przekreślenie wojskowej jednostki i narodów. Za tą wolnością pognął na Wschód. Ludził się, że znalazł ją wśród Beduinów. A kiedy wrócił jako bankrut życiowy i pod wpływem Padurry zaczął bratać się z Kozakami i pisać poemat „Oksana”, jedynym w Polsce utwór o walkach wolnościowych Grecji, jego małżonka, arystokratyczna sawantka, zabierała się właśnie do kreślenia drzewa genealogicznego swego rodu. Był to właściwie uczony wywód, obejmujący trzydzieści dwa herby i udowadniający pokrewieństwo Lubomirskich i Rzewuskich z domami panującymi Stuartów, Burbonów i Habsburgów, a spośród sław literackich — z Balzakiem i Chateaubriandem. Nie gardziła przy tym wybiegami i podstępami, stosowanymi przez panegirystów epoki saskiej.

A tymczasem Emir listy adresowane do niego, jako hrabiego Wacława Rzewuskiego, odsyłał z dopiskiem następującym: „Tużki w Sawranii nema grafiw Rewuskich, tyłki je ataman Rewucha, zołotaja boroda, a po arabski emir Tadż-el-Faher. Grafiw szukaj sobi w Czudnowi, taj w Pohrebyszczach”.

Jedno tylko łączyło tych dwoje obcych sobie ludzi: to były dzieci — trzech synów i córka. Emir był dumny z nich, aczkolwiek wzorowe wychowanie i wykształcenie zawdzięczał niemal wyłącznie matce. Ale to stało się już prawie tradycją w rodzinie Rzewuskich. Kiedy tak przechadzał się z dwoma najstarszymi, przyglądał się z upodobaniem ich pięknej postawie i polskim mundur, których jemu nie dane było nigdy nosić. Walczył zawsze pod obcymi sztandarami i w obcej sprawie. — Szcześliwi chłopcy! — myślał nie bez zazdrości.

Pierworodny Stanisław, młodzian urodziwy, choć nazbyt wybujały i często pokaszający (znamięna nieuleczalnej choroby płucnej, która wkrótce przecięła pasmo jego dni), służył w artylerii i zapowiadał się na wybitnego

oficera. Młodszy Leon, również wojskowy, okazywał raczej pociąg do pióra. Był to ulubieniec ojca, który do licznych swoich przydomków w Arabii do dał jeszcze jeden: „Ojciec Lwa”.

Teraz gwarzyli o sprawach wojskowych. Emir wypytywał synów o najnowsze zdobycze w dziedzinie artylerii, która w ciągu ostatnich dwudziestu lat, od bitwy pod Aspern, musiała dobrze posunąć się naprzód. Leon zaczął nieśmiało prosić ojca, aby opowiedział im przebieg tej bitwy. Emir zgodził się chętnie. Zasiadli w trzech na kamiennej ławie — i pod żółknącymi drzewami popłynęła barwna opowieść bojowa. Emir miał dar wymowy, opowiadał żywo, zwłaszcza gdy miał przed sobą wdzięcznych słuchaczy. Nie pominął najmniejszego szczegółu, przemilczał tylko epizod z dziewczyną w podmiejskiej zagrodzie, wiedziony instynktownym poczuciem szacunku dla poległej.

Nie spostrzegli się, jak powiał zimny wiatr i zmącił czyste niebo brudnymi zatokami chmur. Drzewa zawiadły żalobny hymn organowy. Z gradem łaci spadły pierwsze krople deszczu. Emir powstał z ławki i w asyście synów udał się do dworu, aby po raz nie wiadomo już który napaść czy skarbami Opoli, odziedziczonymi po dawnej jego władczyni, Antoniowej Lubomirskiej, z domu Krasieńskiej, która umarła w Warszawie w 1790 roku podczas Sejmu Wielkiego. Były to: piękna zbrojownia, bogata biblioteka i zbiór minerałów.

Mijając stare koncerze i karabele, przypomniał sobie Emir, jak to Marcin uczył go fechtunku w Sawranii, w bibliotece spostrzegł nie bez zadowolenia kilka tomów dzieła „Fundgruben des Orients”, wydanego jego sumptem za czasów wiedeńskich. Widać pani Rozalia i w tej dziedzinie starała się podtrzymać honor domu. A w zbiorze minerałów zauważył kilka odłamków skał z Libanu i marmurów z Palmiry ze swymi własnoręcznymi adnotacjami.

Kiedy zapadł zmierzch, zasiadli w małym salonie przy płonącym kominku. Emirowi brakowało pani Róży. Wiedział, że pomimo przekroczonej czterdziestki zachowała swoją majestatyczną urodę, a jej wysokie wykształcenie i cięty dowcip zmieniały każdą rozmowę z nią w prawdziwą ucztę umysłową. Nie widzieli się już piętnaście lat i żadne z nich nie przypuszczają, że już nie zobaczą się nigdy więcej.

Emir nie przeczuwał, że to jest jego jesień ostatnia. Nie wiedział, że jego

(Dokończenie na str. 10)

FATALNY PAŹ KRÓLOWEJ MARIA SZCZEPOWSKA

NACIAGNĘŁAM dziurawę skarpetki, gwizdnęłam na palcach i już byłam gotowa do drogi.

Na próżno sto megafonów wołało za mną: uczesz się! umyj! spełnij swój obowiązek! Zacięłam usta i machnęłam siatką na motyle.

Na ten znak wyskoczyła zza krzaków Armia Czarnych Dręczycieli i ruszyła trop w trop za mną. Kiedy zrobiłam krok w lewo, dręczyciele rozsypywali się w tyralierę, kiedy zrobiłam krok w prawo, równali szeregi i celowali we mnie karabinami swoich olbrzymich lunet. Podejrzewałam, że pod bluzką mam bombę atomową. Ale ja nawet biustu nie miałam. Jeszcze mi nie wyrósł.

Nawołując się magicznymi znakami, poszeptując i popsykując śledzili mnie, tropili. Przedrzeźniali każdy mój ruch i ostrożnie, na palcach skradali się za mną.

Tak posuwaliśmy się w głąb lasu. Chciałam złapać błękitnego pająka królowej, jak wiadomo jednak nie ma błękitnych pająków królowej. Są tylko żółte. To nie, myślałam, w odwet za przewidywaną klęskę zaprowadzę te straszdyła na jezioro i tam potopię w błocie. Ach, cóż za rozkosz słuchać, jak bulgocą w wodzie wdęte pychą płaszcze, patrzeć jak pozbawione głów stożkowate kapelusze kołyszają się wśród białych nenufarów.

W tej chwili mignął mi przed oczami błękitny paź królowej. Rzuciłam się za nim w pogoń. Machnęłam siatką w lewo, a on pofrunął w prawo, machnęłam siatką w prawo, a on pofrunął do góry. Podskoczyłam, ale on wzbił się wyżej. I zawisł tam wysoko: nieruchomy, błękitny, najbłękitniejszy, bo nierealitywny. Bezradny, bezskrzydły człowiek, stałam z zadartą w górę głową. Patrzyłam, jak nikt beztępośnie.

Nie można jednak stać wiecznie. Odwróciłam się. I — jakiś widok przedstawił się moim oczom. Rozsypana

na w tyralierę Armia Czarnych Dręczycieli, zaopatrzona w teleskopy, stożkowate kapelusze i astrologiczne płaszcze, skakała po leśnych wykrotach, a każdy z niesamowitych członków tej armii usiłował złapać w siatkę fruwiącego mu przed nosem motyla. Spróbujcie tylko wyobrazić to sobie. Zielony las, kwiatki, grzybki, a na tym tle stożkowate kapelusze oraz rozziębione płaszcze, a wszystko zmechanizowane sfiksowaną pogonią za urojonym zjawiskiem.

— Jakże w tym sens, jaka logika? — wykrzyknęłam.

— Logika? — pisnęła jawna niedorzeczność — logi-ika ma bzika.



Godzina powagi

Przełożył LEOPOLD LEWIN

Kto teraz płacze gdzieś na świecie,
Bez powodu płacze na świecie,
Płacze nade mną.

Kto teraz śmieje się gdzieś nocą,
Bez powodu śmieje się nocą,
Śmieje się ze mnie.

Kto teraz chodzi gdzieś po świecie,
Bez powodu chodzi po świecie,
Ten idzie do mnie.

Kto teraz kona gdzieś na świecie,
Bez powodu kona na świecie,
Ten patrzy na mnie.

DIONIZY MALISZEWSKI

Na Ziemię rozkwitła
ziarnem życia —
pada radioaktywny pył śmierci

nad miasta ciche i wioski
nadciągają chmury groźne
syjące w oczy
ludzi zmęczonych
czerwonym deszczem trwogi

wybuchają wodorowe wulkany
na pustyniach dalekich

szaleją atomowe sztormy
na oceanach spokojnych

już są kobiety rodzące
głuche i ślepe potworki

już są mężczyźni
którzy nigdy nie będą ojcami

słyszycie —?
w eksplozjach jądrowych bomb
w ryku śmiercionośnych aparatów

pedzi ku Ziemi —
dwudziesty pierwszy wiek
międzyplanetarny ekspres zniszczenia
czy szczęśliwego życia?

ZBIGNIEW KOŚMIŃSKI

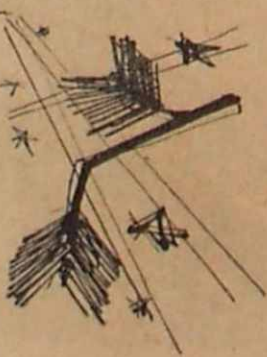
Błąd

Martwy księżyc utopiłem w studni,
gwiazd gwóźdźmi zabiłem wrota,
przywaliłem skałą Rysów. Trudno,
o wiele trudniej iść teraz bez marzeń
pod strumą górę życia.
Po to, by tęsknić gorzko i samotnie,
księżyc utopiłem,
księżyc,
a wrota zabiłem na głucho
gwóźdźmi gwiazd.

KAZIMIERZ EUGENIUSZ
STESZUK

Pójdiesz ścieżką — kochana —
wśród łąk soczystych,
na włosy spadną rumiane,
jesienne liście.

Pójdiesz... Dokąd? Nie wiem.
Może szukać zieleni —
Lecz ścieżka ciebie zawiedzie
w zmierzchu Jesieni.



W ZWIĄZKU z wielką ankietą „Kamenu”, zamieszczoną w numerze 3 (168) z dnia 15 lutego br. — pozycalam sobie przedstawić następujące odpowiedzi na postawione w ankiecie pytania:

1) Przede wszystkim nasuwa się pytanie, co jest uważane za literaturę nowoczesną?

Czy piszący od kilkudziesięciu lat Hemingway jest mniej nowoczesny na przykład od Brandysa, który wystąpił dopiero po II wojnie światowej?

Słyszę i czytam, że niektórzy autorzy dawni holdujący piśmarstwu tzw. „udziwnionemu”, jak Gombrowicz, Bruno Schulz, Kafka, przytaczani są najczęściej jako najbardziej nowoczesni.

Czy robiąca największą karierę w ostatnich czasach literatura takiego typu, jak: „Witaj smutku”, „Pewien uśmiech”, „Moja piękna mama”, ma być tą właśnie literaturą nowoczesną, a inna, jak np. „Noce i dni” Dąbrowskiej, wydająca się być trwałym dobytkiem naszego piśmiennictwa, jest literaturą nie nowoczesną?

MOI ULUBIENI AUTORZY: (wymieniam tylko niektórych) Hemingway, Sartre, Camus, Graham Greene, Chesterton, Szolochow, Roth, Emil Ludwig, Zeromski, Strug, Berent, Kaden-Bandrowski, Sergiusz Piasecki, Wańkowicz, Dobraczyński, Kisielewski, Brandys Marian, Hłasko.

2) Powieści czytam zawsze z potrzeby intelektualnej i dla wiedzy o świecie. Wspomnienia i biografie — z ciekawości (Chłędowski, Guderian). Interesują mnie wydarzenia historyczne, sposób ich przedstawiania i postawa autorów.

Na marginesie wspominałem, że gdy miałem lat 15, zachwyciłem się z kolegami gimnazjalnymi Zeromskim. Schodziliśmy się razem dla wspólnego studiowania jego dzieł. W „Wierniej rzece” smakowaliśmy każde słowo, każde powiedzenie, każdy zwrot. Uczyliśmy się na pamięć całych ustępów i poszczególnych zdań. A nie byłam jedynym. Dzisiaj podobne czytanie książek przez młodych czytelników jest w ogóle nie do pomyślenia. Nie istnieją zainteresowania dla tego gatunku.

3) Pisma literackie czytam bardzo chętnie: „Tygodnik Powszechny” (przede wszystkim dla Kisiele), „Życie Literackie”, „Przegląd Kulturalny”, „Nową Kulturę”.

Czytam, bo interesuje mnie bardzo życie kulturalne, nowe wydawnictwa, coraz to inaczej przedstawiany obraz świata. Lubię bardzo wszelkie dyskusje i polemiki. Pasjonowałem się szczególnie batalią Sandauer-Rudnicki.

4) O perspektywy literatury zupełnie się nie obawiam. Dwa typy literatury (o których wspomina „Kamena”): trudna — dla specjalistów i łatwa — dla masowego odbiorcy, istnieją, moim zdaniem, od narodzin beletrystyki.

Książka jest człowiekowi potrzebna i będzie nią zawsze, jak długo będzie istnieć człowiek i jak długo będzie umiał pisać.

Jeśli chodzi o powieści, to wiemy, że wszystkie one przedstawiają życie z szerokim wachlarzem jego zagadnień i powikłań. Przedstawiają lepiej, czy gorzej, ale w każdym razie w sposób zrozumiały, rzadziej uciekając się do abstrakcyjnych symboli (raczej męczących — jak np. Kafka). I kto lepiej i wierniej opisuje życie, ten uważany jest za lepszego i wierniejszego pisarza. Chodzi tu zatem o prawdę życia i o prawdę psychologiczną.

Całkiem przeciwstawne kryteria spotykamy jednak w poezji. Lansowane wylamywanie się z wszelkich form czy konwencji tradycyjnych w pogoni za nowością, robi na mnie wrażenie poszukiwania za wszelką cenę „inności” bez względu na wartość osiągnięć. To też absolutnie nie wierzę w lepszą przyszłość, postęp czy rozwój poezji na obranej przez nią ostatnio drodze.

Poezja jest sprawą przeżyć natury emocjonalnej. Pakować ją na siłę do jakiejś innej roli, nie dającej się w dodatku sprecyzować? Do czego to prowadzi? Jeżeli niezrozumiałość, bezsens, brak jakichkolwiek form, mają być patentem na nowoczesność, to można by się dopatrywać zyczajnego szachrajstwa i mydlenia oczu naiwnym odbiorcom. Rozumiem, że twórcy chcieliby czegoś innego niż dotąd, jakoś inaczej, że niby naprzód, że marsz, że w zatchną atmosferę żeby wpuścić powietrze, żeby odświeżyć i tak dalej i tak dalej.

Coś tu jednak nie jest w porządku, jeżeli nowoczesna poezja wymaga zawilich, nieprzekonywających tłumaczeń i objaśnień, gdy oparta jest na niesprawdzalnych teoriach i tworzona jakby zupełnie poza życiem.

Całego szeregu wierszy Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, Ujejskiego, Asnyka, Staffa, Tuwima, Słonimskiego, Brontewskiego, z przyjemnością uczyłem się na pamięć z własnej woli i ochoty, dla ich piękna i urzekającej wymowy.

LIST KONSUMENTA
współczesnej literatury

JERZY MARYNOWSKI

Czym pragną urzekać dzisiaj poeci?

Czy istnieje choć jeden najnowocześniejszy wiersz, którego chciałoby się uczyć na pamięć?

Gdyby dla uzyskania nowego wyrazu w architekturze ktoś starał się wybudować dom bez okien, to niewątpliwie nowy wyraz byłby osiągnięty, ale czy byłby dom taki wyrazem postępu i nowoczesności? — Chyba nie.

Gdy w dzisiejszych wierszach patrzę na bezładnie ustawiane słupki wyrazów, na metafory graniczące z groteską, detość założeń, nieudolność wyrazu i niezrozumiałość treści, ogarnia mnie senność, zniechęcenie i zmęczenie.

Przywykło się porównywać dzisiejszą niechęć współczesnych odbiorców nowej poezji z niechęcią, z jaką przyjmowano romantyków, którzy wkroczyli na rynek czytelniczy, wykształcony na klasycyzmie. Wydaje mi się, że nie ma tu żadnego porównania. Dla nas Rej, Kochanowski czy Trembecki są równie strawni jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, jak Staff, Tuwim, Wierzyński i Lechoń. Poezja jednych i drugich jest jednak poezją, a nie ustawianiem bzdurnej treści w przypadkowe kolumniki wyrazów.

Ktoś tam gdzieś krzyknął, że to są poszukiwania.

Jeżeli tak, to powinny się one ograniczać do laboratorium twórców. Każdy nowy lek musi być przed wprowadzeniem na rynek wszechstronnie badany i wypróbowany. Na przykład, na zwierzętach doświadczalnych itp. Zaden odpowiedzialny uczonec nie wprowadzi na rynek leku, znajdującego się w okresie badań, poszukiwań, doświadczeń. Te same kryteria powinny mieć zastosowanie do poezji. Eksperyment nie powinien być widowiskiem publicznym. Trening nie może zastępować właściwych zawodów. Wypróbuj wpięrow, a potem pokaż.

KSIĄŻKI
KTÓRE CZYTAMY

„Aby każde słowo
służyło człowiekowi —
budziło miłość”

HELENA PLATTA

Jako tytułu użyłam cytatu z książki Jana Wiktora: „Pieniny i ziemia sądecka”, gdyż zdanie to charakteryzuje zamierzony pisarza. Książka, pisana w ciągu dwudziestu siedmiu lat, jest jakby podsumowaniem intencji i dążeń autora, które go skłoniły do wypowiedzenia siebie w publicystyce oraz najznaczniejszych jego dziełach beletrystycznych.

Najgłębszym pokładem poczynań twórczych Jan Wiktora (pochodzącego z rzeszowskiej rodziny Radomyśla w Rzeszowskim, a więc z pobliska Lubelszczyzny) jest żarliwa miłość do człowieka i gorące przywiązanie do ziemi rodzinnej. Z tej miłości, romantycznie zabłąkanej w nasze czasy, razi się współczucie dla wszystkich cierpiących. Ze współczucia — chęć przyścisła z pomocą.

Osiadłszy w Szczawnicy — Jan Wiktora w ciągu czterdziestu pięciu lat nie tylko dąży do podniesienia poziomu oświaty wśród ludności wiejskiej, lecz także stara się dopomagać najbardziej palące problemy wsi, pochłaniające go jako człowieka i jako pisarza. W żadnej ze swych książek nie traci z oczu tych spraw, przedstawiając na ich tle realia międzywojennej doliny chłopa podhalańskiego („Orka na utorze”, „Wierzy nad Sekwaną” i in.). W „Pieninach i ziemi sądeckiej” porusza te zagadnienia mniej gwałtownie,

Nowocześni twórcy bardzo się oburzają na czytelników, nie rozumiejących ich mętnych elukubracji. Gotowi są wszystkich tego rodzaju laików uważać za nieudolnych idiotów, tępaków i kretynów.

Jeżeli pisząc „kura” — mam na myśli „fortepian”, nie powinienem mieć pretensji, gdy nie zostałem w lot właściwie zrozumiany przez czytelników.

Mimo wszystko wierzę w nawrót prawdziwej poezji, w jej pełny renesans. Przyjdą na pewno ludzie, którzy zrozumieją sens poezji, konieczność piękna, potrzebę wypowiedzenia uczuć, ludzie, którzy posiadają zdolność trafiania do serc ludzkich, zdolność wzruszenia i porwania. Znikną wówczas zabawy w słupki i kolumnienki, przestaną interesować pseudo-wiersze, będące tylko graficznymi rozwiązaniem pewnego zespołu wyrazów. Dzieje odwiecznych spraw ludzkich miłości i śmierci odzyskają prawo obywatelstwa, a słowo powróci do swej właściwej rangi.

nie, choć nie mniej gorąco, już nie w formie zbeletryzowanej. Wskazując na niszczejące zabytki architektury, obyczajowości, sztuki ludowej, wierzenia, legendy góralskie, znajduje rozwiązanie, mające na celu zachowanie dla przyszłych pokoleń pamiętek dawnej świetności; proponuje zbudowanie Chaty-Muzeum własnym kosztem. Przedstawia też, jakie napotyka niezrozumienie. Pożyciu godna jest erudycja pisarza, sięgająca wielu dziedzin nauki, wydobywająca z mroków prawdę historyczną, opartą o zapiski archiwalne i dokumenty, na podstawie których pewne postaci i fakty historyczne ukazują się w zupełnie innym świetle niż to podawały oficjalne podręczniki. Jakże nędznie wygląda w blasku tej prawdy — wspaniały rycerz z Garbowa Zawisza Czarny. Ten polski zdawałoby się chevalier sans peur et sans reproche — pobierał żołd od Zygmunta Luksemburczyka po to, by przedstawić się zbawiennej polityce Jagiełły. Kto pamięta, że pierwszą myśl rozbioru Polski rzucił już wówczas ten sam przebiegły władca: cesarz niemiecki Zygmunt Luksemburski?

Wędrując po ziemi sądeckiej wykrywa pisarz na wzniosłych szczytach górskich ruiny i ślady zameczków obronnych, zawieszonych nad przepaściami skalnymi, zameczków budowanych przez arian polskich, wśród których budziła się myśl ratowania ojczyzny.

Ileokro otwieram tę piękną księgę, pisaną sercem poety-samotnika, przypominam mi ona niezwykłą urodę Pienin — w opisach rzadkich okazów drzew w rezerwacie narodowym, ziół, kwiatów, źródeł leczniczych, nie spotykanych gdzie indziej granatowych okazów pszczoł, których miód jest jak słońce uzdrawiający i kojący. Gdy przedziwne legendy góralskie spływają z kart barwną opowieścią, myślę, że ta jedyna w swoim rodzaju księga podhalańskiej urody — to polska Księga San Michele i nawet jej autor Jan Wiktora ma wiele cech podobieństwa z doktorem Akselem Munthe.

Kiedy rozmawiałam o tej książce z malarzem i literatem, Węgrem Tiborem Csorbą — powiedział mi, że „Pieniny i ziemia sądecka” to opowieść o miłości, pełna czaru poetyckiego, opowieść, jaką on sam — Tibor Csorba chciałby napisać o piękności swojej ojczyzny.

Wydana starannie przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie artystyczną szatą zewnętrzną odpowiadającą swej treści.

Z kart książki patrzę doskonale zdjęcia: wizerunki zamczysk, kościółków, chat góralskich, świątków, uzdrowisk, pałaców.

Jest to już drugie wydanie. Nic dziwnego, gdyż rozchodzi się niezmiernie szybko. Gdy przebywałam w Szczawnicy, z maleńkiej księgarekni znikła codziennie po kilka egzemplarzy. Pod koniec mego pobytu, w sierpniu — na opustoszałej półce nie pozostał ani jeden egzemplarz.

O »PRZYGODZIE FLORENCKIEJ«

— niepoważnie

ANNA TATARKIEWICZ

Patrząc na „Przygodę florencką” nie mogłam się oprzeć żalowi, że lubelski Teatr im. Osterwy nie jest na przykład krakowskim „Teatrem 38”, to znaczy instytucją, która może sobie pozwolić na irreverencję, a raczej po prostu — bezczelność wobec Zasłużonych Polskich Autorów Współczesnych (bez ironii). Jak wiadomo, „Teatr 38” wystawiając sztukę Adama Tarny pt. „Zmarnowane życie” zachował tylko strzęp tekstu, zastępując całą resztę scenkami mimicznymi. W stosunku do „Przygody florenckiej” (przynajmniej w jej lubelskiej obsadzie) byłabym łagodniejsza: zostawiłabym in extenso rolę donny Giovanny, to znaczy całą Nagórna, i niewiele więcej, z tym, że to niewiele, a mianowicie mimiczne rodaków rozmowy, należałoby przyodziać w krakowsko-mroźkowskie stroje, nade wszystko śliczne rogatywki z pawim piórem...

Ale cóż, jesteśmy w poważnym teatrze, który poważnie traktuje swych autorów, a niepoważnie usposobionemu recenzentowi pozostaje jedno: odwrócić tradycyjną hierarchię — Autor, Reżyser, Aktorzy — i zacząć omówienie od głównej bohaterki premierowego wieczoru, od Nagórnej.

Zgodnie z życzeniem autora Nagórna gra Włoszkę, która wyszła za Polaka i walczy o tegoż Polaka primo: z jego pierwszą żoną, secundo: z POLSKĄ, by ostatecznie pognać żonę, a ulec OJCZYŹNIE. Na szczęście Nagórna jest w bardzo małym stopniu

*) Dobrze świadczy o Tarnie, że w redagowanym przez niego „Dialogu” mogła się ukazać bardzo przychylna recenzja z tego „kawału”, jaki „Teatr 38” spłatał autorowi „Zmarnowanego życia”.

Kobietą — Która — Walczy — O — Ukochanego — Mężczyznę oraz Namietną — Wencjanką — Wcielającą — Urok — Pięknej — Italii, a za to w bardzo znacznym stopniu sobą, a więc śliczną kobietką, pełną wdzięku i o dziwo wcale nie zmanierowaną (czyżby dlatego, że — jak wieść gminna głosi — nie kończyła najpierw szkoły aktorskiej, tylko polonistykę, i to na prowincji?) Słowem, Nagórna aparycją w pełni zasługuje na komplementy, jakimi zgodnie z tekstem darzą ją partnerzy, poza tym ma doskonałą dykcję, ruchy, dużo bezpośredniości i w miarę poważny, a właściwie niepoważny stosunek do odtworzonej postaci. Widz odnosi wrażenie, że aktorka raczej bawi się w grę, niż gra, co w tym wypadku bynajmniej nie jest zarzutem. Nagórna to czarujące zjawisko, a jeśli jeszcze nie indywidualność aktorska, to na pewno materiał na taką indywidualność. Byleby nią odpowiednio pokierowano. Nawiasem mówiąc, chętnie bym ją zobaczyła w „Igraszkach trafia i miłości” w parze na przykład z Machulskim...

Cóż powiedzieć o reszcie spektaklu?

W lubelskiej inscenizacji przytłumiono nieco „tkliwą dynamikę, angiologię i dal”, czego nie brak w sztuce, ale w zasadzie potraktowano „Przygodę” z całym pietyzmem, co nie wszystkim postaciom wyszło na dobre. Najlepiej — jak się rzekło — wypadła Nagórna, której zresztą dostała się najwdzięczniejsza rola, gdyż autor postać Włoszki nakreślił z wyraźną pre-dylekcją. Zabawnego tyrana domowego zagrała Eleonora Ossowska jako służąca Anna; sympatycznym i przekonującym hrabią-patriotą okazał się Jerzy Smyk; żywą postać architekta Andrzeja dał Marian Rułka — szkoda, że scenograf nie pomyślał dla niego o stroju, który — jak to bywa u znakomitych architektów — podkreślałby także i zewnętrznie jego indywidualność i pewne dziwactwo. Role najtrudniejsze, bo po macoszu potraktowane przez autora, przypadły odtwórcom Iteny i Juliusza. Przybylska a nie-

— kopuły weneckiego Świętego Marka czy słupki do przypinania gondoli?), jakkolwiek wolałabym mocniejsze zaakcentowanie przez scenografa komediewego charakteru spektaklu.

Zarówno walory przedstawienia, jak to, co dla niektórych będzie jego słabością — zapewnią mu „murowane” powodzenie. *)

*) L. H. Morstin: „Przygoda florencka”, sztuka w trzech aktach; reżyseria: Zdzisław Tobiasz; współpraca reżyseria: Eleonora Ossowska; scenografia: Janusz Warpechowski; opracowanie muzyczne: Ryszard Schreiter.

PIĘKNA KSIĄŻKA
o miłościJADWIGA
PINI-SUCHODOLSKA

Nie przypuszczałam, że książka p. Jarockiej *) wywoła we mnie tyle wspomnień. Ze tak żywo stanie mi przed oczyma dom górala Pradziada w Poroninie na Kośnych Hamrach z panoramą Tatr na wprost werandy, z zielonymi łakami wokół. Za domem góra Grapa, oddzielona od nas rzeką Poroniec, przez którą biegnie chwylący się mostek, Potoki światła, światło, powietrze, nieprzebrane masy powietrza. Przed tym domem Pradziada w Poroninie, do którego ojciec mój, Tadeusz Pini przyjeżdżał rokrocznie na wakacje, przy stoliku siedzi Jan Kasprowicz. Wydawał mi się wówczas olbrzymi: wielki i tęgi. I chyba, przy moim zawsze pogodnym i wesołym ojcu, bardzo ponury. Mogły to być lata 1907—1909. Istniały wówczas, jak wiadomo, poważne przyczyny, dla których Kasprowicz nie mógł się czuć szczęśliwy. Rozmawiał z moim ojcem poważnie i długimi godzinami. Czasami jeździli do Zakopanego na wino. Czy chodzili razem na wycieczki w Tatry — ojciec mój był wówczas zapalonym taternikiem — nie wiem. Przypuszczam, że raczej nie. Pamiętam też córki Kasprowicza, panienki ładne, z jasnymi, prześwieconymi słońcem włosami. One nie zachodziły do nas nigdy, przychodził natomiast z Kasprowiczem ktoś, kto był mi wówczas znacznie bliższy niż wszystkie córki największych poetów świata, olbrzymi biały jego pies, Smok. Prawdopodobnie musiał to być (jak dziś to sobie wyobrażam) bardzo popularny na Podhalu owczarek. Pamiętam, że gdyśmy chodzili razem na spacer, zagał napotkane owce fantastycznie, ku niezadowoleniu juhasów. Z nim to przeżyliśmy raz wielką tragedię, przynajmniej w moim ówczesnym rozumieniu. Kasprowicz gdzieś wyjeżdżał, a Smok miał przez kilka dni pozostać u nas. Pojechalismy wszyscy na stację poroniską bidką, a pies został, zamknięty w domu. Został, ale bardzo niedługo. Zaraz po naszym odjeździe wybił szybę, wyskoczył oknem i pognął jak szalony na stację. Co się z nim stało, nie pamiętam; u nas nie czekał już na swego pana.

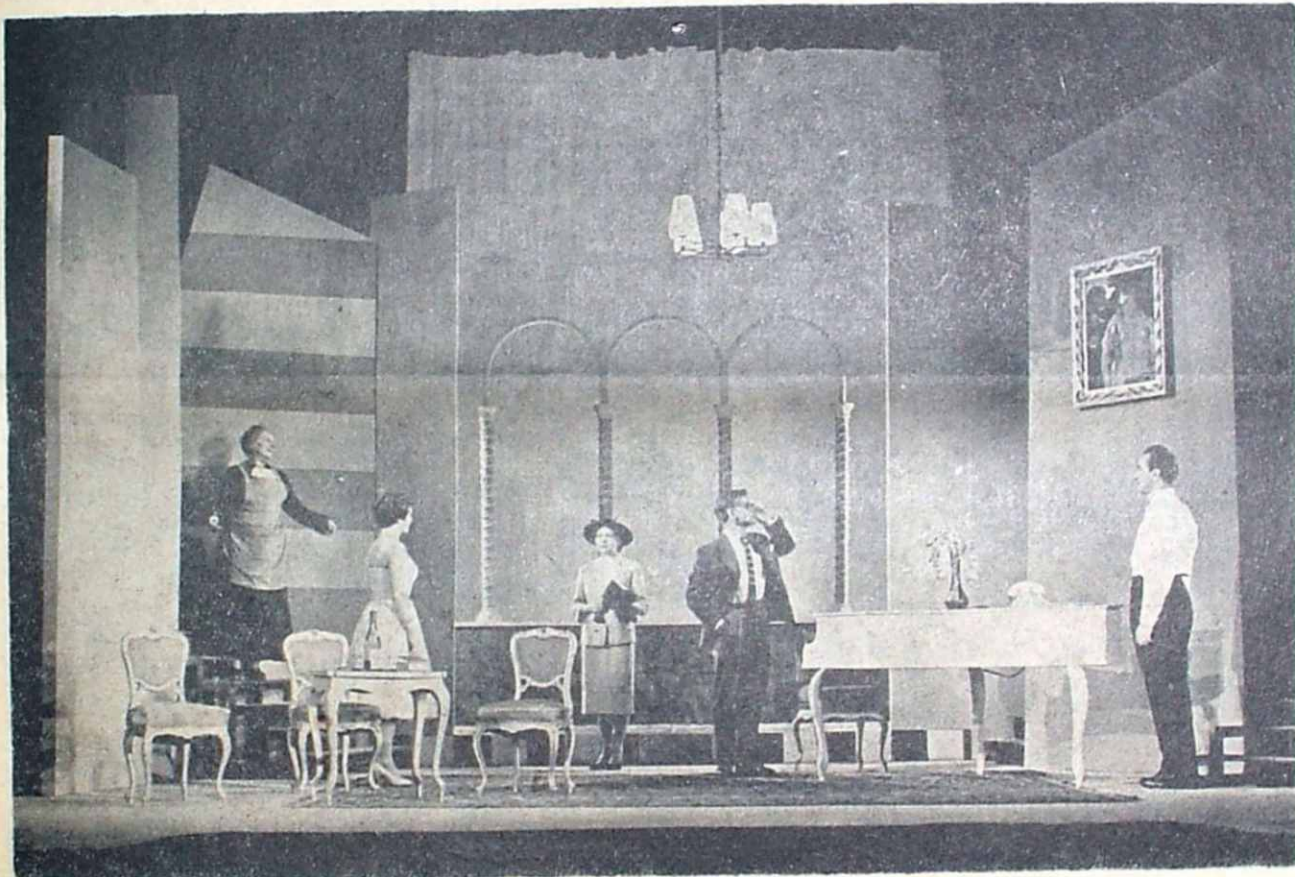
W tym czasie już nawet ja, mały dzieciak, słyszałam coś niecoś o tragedii rodzinnej Kasprowiczów. Później czytałam listy Stanisława Przybyszewskiego do Jadwigi Kasprowiczowej, znalazłam też nieco całą sprawę z przeciętnych informacji wydawnictw literackich. Nie dawały one o niej żadnego wyobrażenia.

Kiedy wyszła teraz, przed paru tygodniami, książka Anny Kasprowicz-Jarockiej pt.: „Poeta i miłość”, odtwarzająca dzieje małżeństwa Jana Kasprowicza z Jadwigą Gąsowską (drugą jego żoną), słyszałam kilkakrotnie głośno: „po co Jarocka wydała tę książkę? Ludzie dawno o wszystkim zapomnieli, a przecież jest to kompromitowanie własnej matki”. Sąd ten nie wydaje mi się słuszny.

Książka Jarockiej jest bardzo piękną i bardzo pożyteczną. Przede wszystkim życie rodzinne i, co za tym idzie, duchowe tak wielkiego poety, jakim był Jan Kasprowicz, nigdy nie może być ani zapomniane, ani obojętne. Po drugie zapoznanie publiczności polskiej z korespondencją narzeczeńską i późniejszą małżeńską Jana Kasprowicza i Jadwigi Gąsowskiej nie jest kompromitacją tej ostatniej, ale jej wielkim usprawiedliwieniem, wydawałoby się nawet, że może jednak w pewnym mo-

*) Anna Kasprowicz-Jarocka: Poeta i miłość. Warszawa 1958, PIW.

(Dokończenie na str. 11)



Eleonora Ossowska (Anna), Danuta Nagórna (Giovanna), Halina Przybylska (Irena), Marian Rułka (Andrzej), Zdzisław Tobiasz (Juliusz)

AUGUST PLATEN

Grób w Busento

Przełożył

STEFAN ZARĘBSKI

Nad Busento pod Cosenzą głuche nocą brzmią śpiewania,
Z wód odpowiedź się unosi, echem fala ją oddzwania.
Ciągnie zewsząd ku Busento armia Gotów w zwartych szykach,
Oplakując wodza swego, walecznego Alaryka.
Od ojczyzny z dala, w obcych muszą go pogrzebać stronach,
Gdy młodzieńcze jeszcze łoki okrywają mu ramiona.
Do posługi tu ostatniej staje żwawo wojsko całe:
By powstrzymać napór rzeki — nowym puszczą ją kanałem!
W opróżnionym już korycie kopią na dnie dół głęboki:
Na rumaku, w pełnej zbroi złożą tam rycerza zwłoki.
I zakryli potem ziemią wodza z bronią jego szczytną,
I na grobie Alaryka zaraz wodne lilie kwitną.
Z szumem powróciła rzeka, w dawne brzegi skierowana —
Znow Busento w swym łóżysku łoczy, klebi się w bałwanach.
I pieśń tętni: „Bohaterze, śpij spokojnie w rzeceńskiej gluszy,
Żadna horda rzymska teraz twej mogiły nie naruszy!”
Długo huczał pod Cosenzą hymn, ku wodza cześć śpiewany.
Tocz, Busento, tocz swe wody — z oceanów w oceany!

jednokrotnie dawała nam przykład dobrej roboty; wydaje mi się jednak, że tym razem rola jej stanowczo nie odpowiada, a także koncepcja, którą reżyser i artystka chcieli ratować nienajfortunniejszą postać — nie wydaje się słuszna. Narzucała się konieczność skonstruowania postaci Ireny i Giovanny, ale na scenie lubelskiej kontrast wypadł za bardzo na niekorzyść Polki. Przybylska żywiołowej i spontanicznej Włoszce przeciwstawiła warszawską bywalczynię snobistycznych kawiarni, w założeniu sztuczną i konwencjonalną; nie wydaje się, by przy takim ujęciu Irena mogła, jak tego chyba chce autor — uosabiać w jakikolwiek bądź sposób urok utraconego czasu i utraconego kraju. Jeśli idzie o Juliusza, z tekstu nie bardzo wynika, czym właściwie zastrzył sobie na tak silne i trwałe uczucia dwu kobiet, w tym przynajmniej jednej nieprzeciętnej; w realizacji scenicznnej rolę tę mogłaby uratować tylko jakaś nieprzeciętna indywidualność aktorska, uzasadniająca urok, rozśiewany przez Juliusza. Zdzisław Tobiasz jest poprawny, ale też nic więcej.

SCENOGRAFIA dość przyjemna dla oka (poza groteskowymi buzdyszanami, czy kie licho, które nie wiadomo co mają wyobrażać

Odrabiamy zaległości

TAK się złożyło, że w poprzednim numerze „Kamery” zabrakło naszej rubryki, a że właśnie w tym czasie przez lubelskie ekrany przewinęło się kilka interesujących filmów, chcielibyśmy poświęcić im bodaj parę słów skwitowania. Na pierwszym miejscu z różnych względów wymienić tu należy

„DIABELSKI WYNAŁAZEK”

dzieło bratniej kinematografii czeskiej, i to dzieło, które chyba słusznie przyjęte zostało przez większość polskich (i nie tylko polskich) recenzentów — z entuzjazmem. Trudno się do tego entuzjazmu nie przyłączyć. Obraz XIX wieku ukazany został przez Zemana z wielką finezją, smakiem i najwyborniejszą ironią, a przy tym nie bez pewnej czułości — podobnie jak z uśmiechem i sentymentem wspominały lata dzieciństwa. Wyszedłszy od powieści Jules Verne'a oraz XIX-wiecznych miedziorytów, reżyser czeski zaprezentował niezwykle majsterstwo techniczne (zaczynając, stary Melies obraca się w grobie z zazdrości), wyczuł i pomysłowość plastyczną, inteligencję i dowcip, tworząc rzecz ze wszech miar jednolitą w stylu i pełną wyrazu. O jedno, jak mi się zdaje, można mieć do Zemana pretensję: że ukazując z przyzwyczajeniem oka wszystkie błędy i technicystyczne „sny o potęgę” minionego stulecia (łącznie z elementami dziewiętnastowiecznej obyczajowości), z całą powagą przyjmuje i widzom do wzięcia podaje czarnobiałe widzenie świata, właściwe nie tyle może XIX wiekowi, co literaturze młodzieżowej wszystkich wieków, in primis — Verne'owi. Wydaje się, że w ukazywaniu „złych” i „dobrych” także nie zawadziłoby trochę więcej dystansu, a trochę mniej jednoznaczności — wówczas film pozostawiałby widzowi pełną satysfakcję nie tylko estetyczną, ale i intelektualną. Ale i tak „Diabelskiemu wynalazkowi” zawdzięczamy jedno z mil-

skich chwil, jakie ostatnio zdarzyło nam się spędzić w kręgu „srebrnego ekranu”.

Drugim z kolei filmem, który miał u nas przeważnie znakomitą prasę są

„STRACONE ZŁUDZENIA”

Anglika Reeda. Niektórzy recenzenci, zasugerowani może nazwiskiem Greene'a, który dostarczył materii scenariuszowi, dopatrzili się w „Straconych złudzeniach” wielkich głębokości i tragizmów. Osobiście zgadzam się raczej z opinią Bolesława Michaika (z „Nowej Kultury”), który widzi tu przede wszystkim doskonałą warsztat, nie bez ukłonów w stronę szerokiej publiczności. A więc na przynętę Michèle Morgan w niezbyt interesującej roli stenotypistki, zakochanej w kamerdynerze, więc środowisko „high-life, bon-ton, savoir-vivre pardon”, a więc sentymentalno-kryminalna historia z happy-endem (zła żona „samoczynnie” ginie, dobry mąż może połączyć się z jeszcze lepszą ukochaną, mama wraca). A przy tym istotnie bystre weryfikacje w psychikę dziecka, w świat jego uczuć i wyobrażeń, w jego maleńkie tragedie, zachwycenia i nienawiści. Odtwórca Filipa oraz reżyser, który tak potrafił poprowadzić aktora-dziecko, zasługują na najwyższe pochwały: ani jednej fałszywej nuty, ani śladu minodierii czy mizdrzenia się, które tak obrzydzały swego czasu filmy ze słynną „Shirleyką”. Można by tu jedynie snuć porównanie z małym artystą, który stworzył wielką kreację w „Złodziejach rowerów”. A tytułowa utrata złudzeń nie jest znów tak straszna, bo ostatecznie (blagier Baines traci co prawda w oczach Filipa aureolę niezwykłości, ale pozostaje z kośćmi poczciwym człowiekiem, co — jak się mały Filip kiedyś przekona — jest znacznie ważniejsze.

Nareszcie

„PANNA JULIA”

„Panna Julia” to ekranizacja słynnej ongiś sztuki Strindberga pod tymże tytułem, ekranizacja, dokonana przez wybitnego reżysera szwedzkiego, Sjöberga. Film ten wywołał już swego czasu małą kontrowersję w łonie naszej krytyki (melodramatyczna smutna czy prawie arcydzieło) w moim przekonaniu może on być doskonałym punktem wyjścia dla porównania dwu na pozór podobnych, a przecież bardzo różnych dziedzin twórczości, jakimi są: film i teatr. Film rozporządza znacznie bogatszymi możliwościami, ale w

ŚWIRSZCZYŃSKA - POETKA

ZDZISŁAW JASTRZEBSKI

Po wielu latach Świrszczyńska przypominała się jako poetka, wydając tomik „Liryków zebranych”. Jej debiut sięga roku 1936 — „Wiersze i proza”. (Dlaczego w spisie rzeczy przy utworach przedwojennych brak dał? W ogóle poza szatą graficzną opraco-

wanie tomiku szwankuje, np. „Hymn do nocy”, drukowany w 1943 r., został zamieszczony w grupie utworów z lat 1945—57, kilku utworów brak...)

Przedwojenna twórczość Świrszczyńskiej — to jakby ożywione w fotoplastikonie obrazy. Wynika z tego złudzenie ruchu i życia przy równoczesnej statyczności. Autorka posługuje się celowo dawnymi konwencjami, uprawia jakby igraszki. Ten aktywny stosunek do przeszłości stanowi jedną z zasadniczych tendencji literatury współczesnej i daje w efekcie odświeżenie ograniczonych motywów, groteskę, opalizuje wieloznacznością.

Wykorzystywanie dawnych motywów bywa trojaki: dla Shawa były one pretekstem aktualizacyjnym, u Giraudoux następuje wzajemne przenikanie się mitu i współczesności, Świrszczyńska zaś pisze „na temat” dawnych wyobrażeń sztuki, tak jak się pisze na temat krajobrazu czy miłości. (Nieco inną sprawą jest nurt „historyzmu”, który stara się wskrzesić, stworzyć wizję przeszłości). To znaczy, że nie wykorzystuje starych konwencji dla innych celów, tylko one same stają się przedmiotem, co nie wyklucza wiasnej postawy wobec nich — poprzez ukształtowanie tematu i odpowiednie postawienie akcentów.

Victoria odsunęła kwiecistą firankę i zanosząc się od uroczystego

śmiechu ruchem niewątpliwie ładnym i kobiecym na twardą czaszkę wcisnęła mu wieniec.

(„Victoria”)

Każdy utwór pokazuje jakiś landszaft czy szych, przez co statyczny acz upersonifikowany obrazek rozwija się niemal w alegorię. Tęgo rodzaju twórczość musiała oczywiście sięgnąć do rekwizytorni stylizacyjnej i pastiche'owej, co z kolei wymaga dużego „oczytania” w sztuce. Odbiło się to nieco na charakterze tych wierszy obciążonych wymyślnymi skojarzeniami, pewną literacką sztucznością. Czynną, co przebijają przez te obrazki, jest urok życia przechodzący czasem w witalizm.

Jednak technika ta wykorzystana została w dramacie „Orfeusz”, którego Prolog wydrukowany w lirykach ma tytuł „Sztuka”:

Przebywa we mnie nieprzeparła chęć mówienia żartem. Ba, nie by w tym nie było złego, gdyby równocześnie nie przebywała we mnie nieprzeparła chęć mówienia poważnie.

Tu groteska nie jest już tylko igraszką. Lecz wiersze wojenne uważa się za słabe. Czemu? Gdyż w cyklu wierszy średniowiecznych zbyt gruba jest powłoka stylizacyjna i dlatego ona się nerzuca na pierwszy plan. Nawiasem mówiąc, tak świetnej archaizacji na wiersz średniowieczny nie ma chyba w literaturze polskiej. Utwory znów, w których autorka mówi wprost, choć bezosobowo, straciły zwartość, zbrakło im bodźca. Poetycka nuta Świrszczyńskiej, jeśli nie przybierze się w jakąś sułienkę, staje się wręcz niezradna, przechodząc nawet w nie nie mówiący naturalizm („Fotografia”).

Cykl „Miłość” nawraca do ujęć przedwojennych. Podobna jest postawa autorki wobec tematu, lecz między obu biegunami rozpostarł się cień wojny z naturalistycznym aspektem. Z każdego obrazka, zaczynającego się niewinnym zaręczaniem, salonową igraszką „Imion wrożeńskich”, przebiega jakiś niedopowiedziany niepokój, coraz kończący się tragiczną pointą.

— Jesteśmy ubodzy jak zakochane krety. Jakże to wszystko niewinne. Przeróżnie niewinne, aż smutno. Za progiem Izadora zabija się.

(„Izadora czyli mała jaskinia rozkoszy”)

To jednak nie ta sama stylizacja. Przedtem mieliśmy personifikację lamusowych obrazków, gdy teraz człowiek i życie wyrasta coraz wyraźniej. Tylko że życie to zostało zamknięte w pozornie z dalekiej pozycji i na chłodno obserwowanej sytuacji, pozornie bez zaangażowania ja lirycznego. Przedtem były pozory życia, teraz życie przybrało pozór obrazka, w który zakuty został duży ładunek dynamizmu.

HELENA PLATTA

Lech

Słowo — westchnienie:

Lech.
Modrzewiowa gałązka chrzęści u stóp.
W słońcu widzisz amaranty
po nawianych obłokach.
Na polu — kurhany i kłosy
tysiąc lat kołysane tak samo:
wiatrami stąd i stąd.
Przez oczy jego patrzą wieczyście chabry,
a maki porastają serce.
Olbrzymieje — w sobie samym —
wobec obcych: —
przeszkoda na drodze.

Zbyt duży, by go zetrzeć,
zbyt mały, by nie ginąć —
westchnienie.

CZESŁAW KURIATA

Historia

Mówiono mi że historia
to
wryte na murach znaki proroków
gruzy o barwach drogocennych wspomnień
naga przeszłość w kilku skórkach
trochę ciemności ubranej w kolorowe sukienki
i czas co gwiazde tęskną serenade
pole doświadczenia a nad nim mądre cytaty
millecący giernkowie i gadatliwie sfinksy
cisza nekana pękiem dobieganych kluczy...

Kiedyś widziałem człowieka
który konał ze starości — —

Odtąd wiem co to jest historia.

Jesień w Opolu

(Dokończenie ze str. 7)

dwaj synowie, podobnie jak on, będą się bić w powstaniu listopadowym i że starszy Stanisław, nie doczekawszy końca wojny, umrze na suchoty. Ale najgorsze, czego Emirowi przedwczesna śmierć oszczędziła, to był los jego najmłodszego syna Witolda. Był za młody, żeby pójść do wojska, ale po upadku powstania matka, chcąc uniknąć konfiskat, sama go oddała carowi, jakby zakładnika, „pod opiekę”. Ta opieka wyglądała w ten sposób, że car postawił Witolda na Kaukaz, gdzie chłopak zginął w walce z bohaterami górskimi.

Matkę zawiadamiał o tym ciosie car własnoręcznym listem.

„Jedyną pociechą — pisał — jest fakt, że syn Panji zginął za ojczyznę... Czyżby pamiętał, że mówi o wnuku targowicianina...”

Ale ktoś mógł to wszystko przewidywać... Jesień była tak piękna tego roku w Opolu...

Stefania Podhorska-Okolów

Z czasopism coś niecoś

Wydać mi się, że raczej — to ostatnie, bo przecie autor sam mówi dalej:

Tymczasem jest w Polsce niedofinansowana instytucja, która w upowszechnieniu kultury spełnia rolę największą. Przynajmniej na terenie Nowej Huty. Myślę o Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.

Ale dlaczego właściwie J. Walawski pisze o tych starych rzeczach — tak starych, że niebawem doczekają się swego jubileuszu? Dlaczego on pisze, dlaczego „Życie Literackie” to drukuje, a my cytujemy? Chyba dlatego, że niektóre sprawy niejako ustabilizowały się u nas na niskim poziomie i co zatem są nadal aktualnym tematem do rozważań i dyskusji.

O zagadnienie konsumpcji sztuki — już na nieco wyższym szczeblu — ociera się poniekąd recenzja Zygmunta Mycielskiego („Przebieg Kulturalny” nr 14) z niedawnego wykonania Stworzenia Świata Haydna. Z. Mycielski zastanawia się nad powodzeniem „rokokowo-operowej” muzyki oratoryjnej, która zgrupowała w sali Pałacu Kultury i Nauki tłumy warszawiaków. W swoim czasie Haydn stał się „umiłowanym synem narodu”. Ta pobożność i szlachetna prostota jego dzieła! — pisano o nim w r. 1766 — „daje się już odczuć, zanim byśmy się do niej przygotować mieli”. Tedy Mycielski:

Niebywała popularność Haydna polegała więc na podobnym odczuciu wianu przez ówczesną publiczność jego liryki, humoru i patosu. Wszystko było w jego muzyce nie tylko proste, ale i zgodne z tym, jak oni pojmowali i odczuwali muzykę i świat. Ale dzisiejszy słuchacz — do jakiego stopnia reaguje podobnie — albo co go wzrusza inaczej w tej sztuce, która pojmowała Genesis tak, jak się widzi duży spektakl w operze?

Mycielski usiłuje przeświecić dzisiejszego słuchacza,

który w dobie dwóch wojennych klęsk elementarnych, zakazany Becketttem i koszmarnym widzeniem świata przez Kafkę, aspiruje do przejazdu na księżyc i ma nadzieję, że autostrady, telewizory i lodówki rozwiążą mu wszystkie życiowe trudności. Jak taki słuchacz przyjmować może tę sztukę, w której nie widzimy wstrząsów, jakie przeżyła wedy Francja, ale zdaje się ona stapać lekko po salinach czterech, kolejno zatrudniających Haydna, Esterhazych.....

Czy sprawa ta jest bardziej tajemnicza, niż wszystkie inne dawne sztuki i style, które nas dziś zachwycają? Czy to muzeum arcydzieł i osobliwości, które usiłujemy

pielegnować dziś jeszcze, sprawia na mnie zawsze wrażenie czegoś, co kulturowo w imię odchodzących coraz dalej od naszych czasów „pojęć kulturalnych”.

Tak sądzi Z. Mycielski. Mnie by się raczej wydawało, że dzisiejsza wzmożona frekwencja na koncertach muzyki oratoryjnej jest frekwencją para-kościelną, u podstaw której leży w dużym stopniu ostentacja nowego, drobno-mieszcząskiego słuchacza.

J. Wilhelm, przy okazji oceny — pozytywnej — powieści Nigela Balchina „Pokoik w oficynie”, („Trybuna Literacka” z dn. 5.IV) stwierdza, że

literatura współczesna z dużym upodobaniem schodzi poniżej granic człowieczeństwa. Chętnie również zajmuje się tym, co — w sensie etycznym — zbliża się do normy i przeciętności. Rzadko natomiast opisuje chwile, w których jednostka wznosi się ponad niejakość i pod wpływem okoliczności czy wewnętrznych bodźców potrafi ukazać najbardziej chwalebne i bezinteresowne strony swej natury. Dlatego też rzadko możemy zaspokoić istniejącą w nas potrzebę moralnej, uczuciowej afirmacji ludzkiego życia i ludzkiego działania...

Bądźmy obiektywni i przyznajmy w tym wypadku Wilhelmowi rację, zapominając na chwilę o niefortunnej przedmowie do „Moich współczesnych”.

Z kolei — inna sprawa.

W dniu 3 kwietnia 1849 roku zmarł w Paryżu Juliusz Słowacki. Dnia 2 kwietnia r. 1959 zainaugurowane zostały w Krakowie uroczystości Roku Słowackiego. Punktualnie o godzinie 15 rozległy się dźwięki Dzwonu Zygmunta. Na dziedzińcu wawelskim, gdzie zgromadziły się liczne delegacje związków twórczych i młodzieży szkolnej, wkrótce pochód z wieńcami. Na czele jego szli przedstawiciele Rady Państwa, minister kultury i sztuki, reprezentanci miejscowych władz partyjnych i państwowych, senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego, teatrów, delegacje zagraniczne... Kryptę, w której mieści się sarkofag, wypełniły wieńce i kwiaty...

Atoli Jerzy Harasymowicz był pierwszy, bo rzucił na grób poety kwiatek w n-rze 3 „Dialogu”, który dotarł do kiosków gazetowych w ostatnich dniach marca. Dzieło nazywa się „Muzeum”. Czytamy w nim m. in. co następuje:

DYREKTOR A jednak, jednak Mickiewicz, panie, od Słowackiego był lepszy.

SMOCZYNA Pewnie. U nas smoków poeta to Krak. Tęga panie gło-

wa i wielka jak krowa pieczona. Poza tym romantyk. Właśnie Wandę plawił w Wiśle. (Wyżyma spódniczkę)

(w tej chwili maleńkim parowozikiem jak lajkonik podjeżdża Słowacki z transparentem)

ADAM TO GOŚC OD WEZA
NIECH DO MNIE SIĘ
NARÓD WYPREŻA

(Słowacki ma czarne okulary i gorączkowo rozbiegane ręce)

SŁOWACKI

Od Wrocławia właśnie jadę koleją żelazną gąsienicą gdzieś kupić wojowy pomadę i słyszę, że niedźwiedz od motyla (lepszy

któ mi tu coś o Adamie pieprzy (Dyrektor muzeum pada na kolana)

DYREKTOR

Ach witaj drogi Julcio wielki mnie właśnie ból ciął w okolicy binokla i stąd mowa moja była odwrotna

SMOCZYNA (uprzejmie)

Może Wandy wyłowić trupka byłaby liryki kupka

SŁOWACKI (do Dyrektora)

Ty stary brodaty fotelu (do Smoczyny)

Ty trocin czerwonych

ze łba roznosieliu po mieście ja dziś na Koletek w agrestie strzela do was z mego pisto pisto pisto pistoleciku księżyc na lasce bambusowej niosąc jak balon nocy karnawalowej

MICKIEWICZ

Gdzie strzecha? gdzie strzecha? jeszcze mam pół miliarda Pana Tadeusza w zanadrzu

SŁOWACKI (kieruje prosto na niego parowozik)

MICKIEWICZ Odyndz chmyzie (noga niedbale przewraca parowozik, Mickiewicz znika. Światło)

SŁOWACKI (wstając)

Ach tego żubra litewskiego Nawet koło się nie ima konia żelaznego

(placze, szuka chustki, szukając wymuje setki czarnych ochraniaczy na rękawy, z kleszeni i za pazuchy. Placząc odchodzi. Staje przed ogonkiem aniołów, te głaszczą go po złotych włoskach, wtedy Słowacki wybuchu jeszcze większym placzem i odchodzi)

SMOCZYNA (śpiewa)

ach, Julcia złota rączki kwieciem mała maman

I tak dalej, i tak dalej. Ładny kwiatek, prawda? No i po co? — Gombrowicz jest w takich rzeczach niedościgły.

Ale już wiemy po co. Wchodzi w modę Fargelét, zmistyfikowany pisarz francuski, są modne wszelakie parodie. Naprowadził mnie na to przypadek KTT w felietonie „Albo-albo...” („Nowa Kultura” nr 14). Ten zmyślony przez „Nową Kulturę” primaprilisowy Fargelét stał się, w użytku KTT wyzwaniem pod adresem osobników dotkniętych „totalnietwem myślowym”: „albo-albo”.

Na czym polega szkodliwość zasady „albo-albo”?

Na jej głupocie, głęboko zgodnej z właściwym naturze ludzkiej dążeniem do upraszczania zjawisk i auto-zadufania. Człowiek bowiem, który z tysiąca możliwości, jakie nawiąują się w życiu, wybiera jedno „albo”, rozwiązuje tym samym dwa kłopoty. Po pierwsze od tej chwili zostaje automatycznie zwolniony z obowiązku zajmowania się cokolwiek innym oprócz spraw, które zgodne są z jego wyborem, po drugie zaś zyskuje całkowitą pewność siebie i błogie przekonanie o własnej słuszności. Dzieje się to mimo oczywistego faktu, że w naszych czasach niczego nie można zrozumieć trzymając się tylko jednej linii myślenia...

Bardzo zgrabnie i dowcipnie, ale dlaczego tyle złościwości? Pies jest porzeczany na końcu felietonu: KTT poróżnił się z Grochowiakiem. A więc w „Nowej Kulturze” pobrzmiwają nadal werble i surmy bojowe. W tymże numerze Stefan Żółkiewski polemizuje z Bieńkowskim, a Andrzej Stawar dyskutuje z Brandysem. Obszerny artykuł „Literatura na rozdrożu” trzeba przeczytać w całości.

m.b.-r.

Piękna książka o miłości

(Dokończenie ze str. 9)

mencie za daleko idącym! Ale któż to może wiedzieć? Korespondencja poety opatrzona jest komentarzem córki tak bezstronnym, tak pełnym taktu i zrozumienia, że stanowić może chyba wzór dla wydawnictw tego rodzaju. Ani słowa za dużo! Ani jednego wykrzyku subiektywizmu! Ani jednego wyrażenia, jakie może, mimo woli nie ma, wypłynąć spod pióra pokrzywdzonego dziecka.

Obie zaś główne dramatis personae dzięki temu wydawnictwu zyskują bardzo wiele na wyrazistości. Charaktery Kasprowicza i Jadwigi występują plastycznie, stają się jasne, uchwytnie, zrozumiałe.

Spotykają się po raz pierwszy, oboje już po tragicznych przeżyciach uczuciowych. On, starszy od niej o lat 9, już wdowiec po śmierci żony, która rozstawiła się z nim rozpiła się i umarła, ona młodzianka, wrażliwa i uczuciowa dziewczyna, przeżywająca jeszcze tragiczny konflikt: czy powinna, jak każe ojciec, zerwać z narzeczonym nieuleczalnie chorym na gruźlicę? Tych dwoje pokochało się miłością piękną i szlachetną. Roją o wspólnym życiu, wspólnej pracy: ona marzy o tym, aby mieć w nim przewodnika dla swego niedoświadczonego jeszcze intelektu, on chce zyskać towarzysza pracy, wrażliwego „pierwszego słuchacza”.

Małżeństwo. W pierwszym roku pierwsze dziecko, wkrótce potem drugie, kłopoty finansowe, praca domowa, egoizm mężczyzny, niezaspokojona uczuciowość i ambicja kobiety. A w 5 lat po ich ślubie zjawia się u nich i staje między nimi wielki degenerat, Stanisław

Przybyszewski. Ujarmia Jadwigę, bo takiej właśnie potrzebuje. Postępuje brutalnie i bezwzględnie. Kasprowicz, ten „opiekun” o 9 lat starszy, zabiera dzieci i usuwa się. Kobieta, zostawiona sama sobie, szamocze się i walczy. Ale jest to już tylko bezsilne trzepotanie się muchy w sieci pająka. Przychodzi czas, że pająk ją pożera. Przybyszewski zostaje małżeństwem. Pozostałi razem do końca życia. Po śmierci Kasprowicza wzięli nawet ślub kościelny. Prawdopodobnie Jadwiga, która przy swojej wrażliwej naturze przeszła całą gehennę cierpienia, zyskała jednak w końcu to, do czego tęskniła w listach narzeczęskich do Kasprowicza. Zyskała człowieka sławy, któremu była czymś w rodzaju Laury czy Beatrycze, dla którego stanowiła moralny autorytet. Sprawy gospodarskie i dzieci, choć tak kochane, zostały za nią. Myśli takich nie sugeruje Jarocka, ale z niektórych wspomnień o Przybyszewskim, a także z jego korespondencji widać wyraźnie, że Jadwiga odgrywała ważną rolę w jego życiu naukowo-literackim, że liczył się z jej zdaniem i bez jej zezwolenia niczego nie podejmował. Może więc nie była p. Jadwiga tylko owym słodkim, uczuciowym dziełczkiem? Może drzemała w niej sataniczna siła, wielki charakter i ambicja pod pokrywką dziełczkowego anielstwa?

Tego zagadnienia Jarocka nie rozjaśnia, ale daje literaturze polskiej świeży i rzetelny materiał, pozwalający lepiej zrozumieć twórczość jednego z największych pisarzy młodej Polski. I za to jesteśmy jej serdecznie wdzięczni!

Jadwiga Pini-Suchodolska

Na lamach niektórych naszych pryncypalnych czasopism zapanowało w ubiegłym tygodniu zacisze. Wygląda na to, że powołani polemisi są zajęci chwilowo ostrzeżeniem ze... piór. Nr 14 „Życia Literackiego” składa się prawie wyłącznie z ocen nowalijek plastycznych, teatralnych, filmowych, wydawniczych i sposobów upowszechniania kultury. Na czołowym miejscu umieszczono artykuł pt. „Muza świetliczanka”, którego autor, Jerzy Walawski, przekazuje czytelnikowi swoje spostrzeżenia poczynione w Rzeszowie i — w Nowej Hucie. Przysłuchając się wojewódzkiej naradzie rzeszowskiej Komisji Kultury, dowiedział się m. in., że —

lokale osiemnastu rzeszowskich bibliotek powiatowych i in. nie nadają się do użytku — wilgoć, ciasnota. Polikwidowano wiele punktów bibliotecznych. Np. we wsi Lubenia założono w bibliotece magazyn dla elektryków, a w dalszej kolejności poczęto, w Siedliskach zabrano biblioteczkę na mieszkanie dla lekarza. W jednej z miejskich bibliotek Rzeszowa brakuje pieca. Lokal ma 12 m kw., „Kilka filii bibliotecznych mieści się w remizach straży pożarnej. Większość bibliotek nie ma czytelnik.

A działacze k.-o.?

Do pracy w bibliotekarstwie kierowani są nawet ludzie z niepełnym wykształceniem podstawowym. Przykład z ekspedientką PSS czy MHD, która w sklepie nie mogła dać sobie rady i została zdegradowana do stopnia bibliotekarki.

Autor dochodzi tu do sedna sprawy:

Z kilkugodzinnej nasiadówki najlepiej utkwiło mi w głowie pojęcie „degradacji”. Każdy orze jak może, ale jak już nigdzie nie może, to zaczyna orać... w kulturze. Orka przypomina raczej żeranie, bo orły (od orać) od kultury zwykle są kurami. Stwierdzenie jest smutne, tym bardziej, że dotyczy nie tylko biblioteki. Podobnie jest w wielu oddziałach czy wydziałach kultury, szczególnie w woj. rzeszowskim, analogiczna sytuacja panuje w domach kultury. I tutaj może nie chodzi o brak wykształcenia, ale o nieudolność, niedbałość lub wręcz głupotę.

Książki i czasopisma są często traktowane jedynie jako pozycje inwentarzowe:

Panuje ostatnio powszechna nie tylko na rzeszowskiej prowincji moda trzymania pod kluczem atrakcyjnych czasopism przychodzących do czytelnik. Podobno niszczą się, kiedy czyta je zbyt wiele osób. Wobec tego dostęp do nich mają wyłącznie wybrani. Dla reszty pozostają dzienniki plus doskonałe periodyki w rodzaju „Wzorowy pszczelarz” i „Głos Złotej Rybki”.

Autor obserwował świetlice osiedlowe w Nowej Hucie. „Pusto w nich, glucho i smętnie”. Odwiedzane są przez nieliczne grupki brydzystów. Dom Kultury Huty im. Lenina? Według informatora o pracy tej placówki zakładowej i środowiskowej, istnieją tam następujące działy i sekcje: ognisko baletowe, ognisko plastyczne, szkoła rytmiki, chór mieszany, kwartety wokalne męskie i żeńskie, Teatr Mały, teatr marionetek i lalek, klasy instrumentów muzycznych: fortepianu, akordeonu, gitary, mandoliny, skrzypiec, plus gimnastyka zdrowotna dla kobiet, dział pracy oświatowej, a w nim kursy języków obcych dla starszych i dzieci, kursy fotograficzne, radiomechaniczne, radiotelegraficzne, kroju i szycia, kosmetyki itp. Prócz tego uniwersytet dla rodziców, uniwersytet powszechny, klub szachowy i bilardowy, biblioteka, kawiarnia...

Imponujące, prawda? Lecz autor obliczył, że na wszystkie owe działy, ogniska i kursy przypada 200 odwiedzających dziennie — przepływ mniejszy niż w „najpodlejszej krakowskiej kawiarence”. Stąd wniosek:

Kulturę ciężko się u nas trawi, albo jest niesmacznie podana.

NOTY

PRIMA APRILIS. Znana to prawda, że poziom dowcipu świadczy o kulturze dowcipkującego. Pisma nasze dorocznym zwyczajem uczęły początek kwietnia różnymi mniej lub bardziej szczęśliwymi „kawalami”. Pierwsza nagroda za smak i dowcip pod tym względem bezspornie należy się „Szpilkom” za świetny numer w całości od a do zet parodiujący „Przekrój”. Jest tu i odpowiedni slogan na okładce i są wszystkie rubryki: i *savoir-vivre* i Kowalscy i najkrótsze nowelki, i myśli ludzi (z wspaniałym aforyzmem lorda Galupa: „człowiek brzmi dumnie w trzcinie”), i rozkoszne „Wie Madzia” i Fluteki Kern. „Kawał” przedniej marki. Drugą nagrodę należałoby przyznać „Nowej Kulturze” za genialny w swej prostocie i tak aktualny pomysł z „nonsubstantywnością” i jego twórcą Fargétem (konsekwentnie przeprowadzony w różnych miejscach numeru). Niezła jest we „Współczesności” rubryka „Książki nadesłane”. A u nas w Lublinie? „Sztandar Ludu” zamieścił rewalacyjne wiadomości o odkryciu Yeti w Bieszczadach, o puszczeniu w obieg sztucznych (i w złocie i o projekcje wprowadzenia „placówek jednobranżowych”). Pomysły takie sobie, ale na poziomie. Za to „Kurier Lubelski” użył sobie na czytelników wydając w jednym numerze dwie gazety: jedną niby normalną, drugą — *prima-aprilisowa*. Wśród mniej lub więcej wybrednych dowcipów dwa specjalnie uderzają wysokim poziomem i wykwintem: jeden o powstaniu w Lublinie luksusowej Dzielnicy Mieszkanowej im. Z. Jakubka (Z. Jakubik zareagował już na ten „dowcip” cętym listem w tej sprawie zamieszczonym w „Sztandarze Ludu”) i drugi (szczyt smaku) — wiadomość „ważna dla emerytów” o pojawieniu się w sprzedaży „dużej partii sztucznych Jelit i wiatrób”, które „rozdzielane będą na poszczególne zakłady pracy za pośrednictwem talonów”. Ma się ten humorek! Co?

PRZEDWOJENNA „KAMENA” NIERAZ PI-SALA O „TATERNIKU”, zwłaszcza w nu-

merach specjalnych — tatrzańskich i górskich. Po wojnie pismo to ukazywało się bardzo nieregularnie z długimi przerwami, aż dopiero w ostatnich dwa latach okrzepło i uległo pewnej stabilizacji. Pod względem szaty graficznej drukowane na doskonałym papierze, ozdobione licznymi zdjęciami bije na całej linii skromne numery przedwojennego „Taternika”, któremu z kolei znacznie ustępuje pod względem wartości literackiej (nie „fachowej”) zamieszczanych w nim artykułów i opisów wypraw wysokogórskich. Wśród młodych, jak dotąd, nie ma pór na miarę Kartowicza, Zaruskiego, Świeża, Goetla, Birkenmajera, J. A. Szczepańskiego i in. (nazwisk można by przytoczyć więcej). No ale trudno mieć o to pretensję do redakcji. Za to należy mieć i to poważną za horrendalne *curiosum*, które znaleźliśmy przy końcu numeru, gdzie (nie było tego pretensjonalnego „okna na świat” dawniej zamieszczono w trzech językach (francuskim, angielskim i rosyjskim) streszczenie numeru. Oto przykłady poprawności językowej układacza tekstu rosyjskiego: „Sieriednoj stieny wlediot put’ siejczas sczitanaja(ł) odnoj iz boliejie zatrudnienych(ł) w Tatrach, wzlata(ł) pri czastacznom (!) primienieniu klucziew(ł)”. „Kartowicz... od(ł) iz najboliejie wydajuszcziesza licznost(ł)”. „Tiazo(ł)ji wopros — sdie-iat’ obszedostupnych(ł) odnokoje(ł) w Polsce i nabolszoje(ł) sobranje knig(ł)”. „Do(ł) nich prinadile(ł)i awtor stali(ł)”. „Wysokij urowien(ł) w podgotowkie pozwo-łialu(ł) przedpodnima(ł)i samych(ł) zatrudnienych(ł) zadacz(ł) w gorach(ł)”. Redakcja „Taternika” nalwne przypuszcza, że to po rosyjsku? Czyżby w Krakowie nie można było znaleźć ludzi poprawnie władających językiem rosyjskim? Bo jeśli na prawdę nie można, to należałoby zrezygnować z zamieszczania w „Taterniku” takich przykładów absolutnej „błędzramotności”, która wobec alpinistów radzieckich nas tylko kompromisuje.

WIEKSIĘ ADAMA MACEDOŃSKIEGO: „Kino” i „Ślepy człowiek”, zamieszczone w n-rze wielkanocnym „Przekroju”, zyskałyby znacznie pod względem artystycznym i działałyby o wiele sugestyjnie, gdyby wyrazy w poszczególnych liniijkach wierszowych powtarzały się nie 4, ale 12 razy. I zapełniłyby wtedy całą kolumnę.

-kaj-

Janusz Makarezyk:

Jak zostałem szeikiem

P T Y S I Ó W

WITOLD ZECHENTER

(z nowych parodii)

Nasz statek „Santa Clophordina”, na który zaokrętowałem się jako młodszy kok w Pernambuco, płynął całą parą do Wybrzeża Okręgu Słoniowej. Był to lipiec, a więc okres najcięższych mrozów w Zatoce Berynga. Olbrzymie góry lodowe przepływały tuż obok, tak, że statek nasz z trudem dryfował pod nawietrzną, chociaż mieliśmy najlepsze maszyny Underwood, a także ozoglowanie nie pozostawało w tyle.

Wszystko byłoby na pewno w porządku, gdyby nie imieniny kapitana. Ten stary wilk morski, Holender, nazywał się Facsimilio della Sua Sponte a właśnie w okolicach Amazonki i cieśniny Magellana wysoce rozwinięty jest kult św. Facsimillia. Zorganizowano wielkie przyjęcie na pokładzie, bal i bankiet. Wódki lało się co nie miara — była to wódka pędzona z trzciny kakaowych, bardzo zdradliwa: uderzała do głowy, a zarazem ścinała z nóg.

Dochodziła północ, gdy byliśmy już właśnie wszyscy ścięci. Odprowadziłem do kajuty przepiękną hawajkę, pannę Kilimandżaro O’Poupeka, z którą prowadziłem wtedy jeden z moich niezapomnianych w tych stronach flirtów oceanicznych (zawsze byłem wrażliwy na wdzięki kobiece, a cóż dopiero na podzwrotnikowych przeszczeniach!). Gdy po dłuższej nieobecności na pokładzie powróciłem tam na czworakach, oczom moim przedstawił się krew w żyłach ścinający widok.

Oto cała załoga leżała pokotem, a nad statkiem gromadziły się potworne chmury czarnej burzy.

W tych okolicach burze bywają dwójakie: białe i czarne. Białe — to są takie zwykłe, ale czarne burze — to potworne wyładowania atmosferyczne. Taka burza wisiała nad nami i nim zdołałem dowlec się do mostku kapitańskiego, by zastąpić nieprzytomnego sternika, nawalnica runęła!

W mgnieniu oka statek „Santa Clophordina” zakryły wzburzone bałwany.

Wpadliśmy w potworny wir trąby powietrznej. W powietrzu latały — poza rybami latającymi — szczątki ozoglowania, masztów, rei — panta rei jednym słowem. Z trudem trzymałem się mostku, miotany w nawalnicy pędziłem pod wodą i na wodzie, aż wreszcie fala zmyła mnie z pokładu. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak dokładnie zmyty, jak wtedy. Byłem pewny, że to koniec, więc straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem, leżałem na kwiatkach nenufarów. Spojrzałem zdziwiony: byłem cały przystrojony w skóry leopardów, a na głowie miałem higieniczną przepaskę ze szczerzego złota. Co to ma znaczyć?

Ale gdy tylko się poruszyłem, otoczyło mnie mnóstwo czarnych postaci — wszystkie na kłęczkach. Ponieważ wszystkie były dość skąpo ubrane w kolorowe pióropusze na głowach, wnet spostrzegłem, że otaczają mnie mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi — całe plemię. Wszyscy na kolanach składali mi hołd...

Nie długo czekałem na wyjaśnienie zagadki. Gdy nadniosłem się na łódkę, ujrzałem dumnie rysujące się na nieboskłonnie dobrze znane mi kształty wielkiej świątyni Bibu-Ribu, największego boga Azteków i Impasów. Byłem już u stóp tej świątyni kilka lat temu jako generalny przedstawiciel słynnego fakira Achmeda ben Achmeda, syna Achmeda, na całej wybrzeżu Toureguanów. Więc to tu oto zaniosły mnie fale!

Miotany nawalnica, nieprzytomny, wyrzucony zostałem przez ocean na to słynne wybrzeże, tak mało jeszcze zbadane przez naukę i sztukę. Nic dziwnego — Toureguanowie praktykują ludożerstwo jako obrządek religijny. Mnie jednak uznali za wyśłańca boga oceanu, Trzensiwoodkę, jako, że zjawilem się tak nagłe na wybrzeżu, prosto z wody, sauté.

Tak zostałem szeikiem wszystkich kapłanów tego szcpecu, którzy zwał się Ptsiami. Jako szeik Ptsiów spędziłem na wybrzeżu Toureguanów sześć lat. Oddawano mi cześć boską, znoszono najlepsze potrawy, a harem mój miał 666 najpiękniejszych dziewic. Takimi też pozostały, gdy po sześciu latach wstąpiłem wreszcie na pokład europejskiej fregaty „Bim Bom”, pierwszego statku ze świata, jaki tu zawitał. Podróż „Bim Bomem” skończyła się zresztą katastrofalnie: na wysokości Przylądka Koziorożca napadła nas wojenna flota Pipków i wszystkich wzięła do niewoli. Ale o tym, jak zostałem z czasem królem Pipków z władzą najwyższego kapłana, opowiem następnym razem...

O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Nr 8 „Kamena” (kwiecień 1934) zawierał dokończenie artykułu Stanisława Czernika „Treść i forma”, wiersze J. Szczepańskiego, A. Madeja, C. Miłozza, L. Rubacha, G. Timofiejewa, J. Wazwackiej, L. Lewina, Z. Wasniewskiego, T. Bochenkiego, K. A. Jaworskiego, przekład z poezji czeskiej J. Seiferta tłum. J. Czechowicz, rosyjskiej (T. Sologub tłum. K. A. Jaworski, P. K. Jaworow i T. Trajanow tłum. A. Bogusławski), ludowej macedońskiej (tłum. L. Rubach), angielskiej (H. Belloe tłum. St. Helstyński), prozę W. Kasperskiego („Dzień Heleny”), polemikę J. Czechowicza z M. Czuchnowskim („Uspolecznione absurd”), przegląd książek najnowszych (J. N. Kłosowskiego), noty i rubrykę „Pro urbe sua”. Numer zdobyła wkładka linorytowa Zenona Wasniewskiego: „Mój przyjaciel”.

Rysunki w numerze:
Janusz Warpechowski (str. 3, 7),
Teresa Targowska (str. 8)

Odrabiamy zaległości

(Dokończenie ze str. 10)

nym (nasuwa się zestawienie ze sztuką „Tramwaj, zwany pożądaniem”) i zachowała walory warsztatowe: bezbłędną konstrukcję oraz maksymalnie skondensowany nastrój. Wydaje się, że pod tym względem XIX-wieczny oryginał bije swą współczesną ekranizację, mimo niezaprzeczalnych walorów filmu, do których przede wszystkim należy doskonała obsada czołowych ról. Zwrócić uwagę, że cały freudyzm, który byłbyśmy skłonni przypisywać reżyserii, tkwi w sztuce, świadcząc o tym, jak bardzo sprawy te unoszą się w powietrzu epoki przed ostatecznym sformułowaniem ich przez wiedeńskiego psychologa.

Tajoj

KSIĘGARSKIE nowaliki

Istną kopalnią wiadomości o ludziach i wydarzeniach z epoki 1878—1905 jest wydany świeżo przez S. W. „Czytelnik” trzytomowy pamiętnik L. Krzywickiego pt. „WSPOMNIENIA” (opr. płóc., c. z 120, nakł. 4.000). Pod względem wartości fotograficznej góruje on bezspornie nad inną pozycją pamiętnikarską, jaką są „PODRÓŻE PO AMERYCE” J. U. Niemcewicza (Oss., opr. brosz., c. z 45, nakł. 2.000) z okresu walki narodu amerykańskiego o wyzwolenie i pierwszych lat jego niepodległości.

Jeśli już od wspominków historycznych zechcemy przejść do nowaliki, to z kolei wypadła zaanonasowa ciekawa książeczka S. Szenica „KRÓLEWSKIE KARIERY WARSZAWIANEK” (Iskry, opr. brosz., c. z 15, nakład 20.000), w której autor, w oparciu o materiały źródłowe, kreśli barwne dzieje pięknych warszawianek, które dostąpiły zaszczytu wstąpienia w legalne białe miłosne związki z koronowanymi partnerami — Barbary Głzanki, Anny Orzełskiej i Julii Hauke.

Podobny charakter (choć w ogromnej mierze uzupełniona piśmarną fikcją) ma przełożona przez H. Gruszczyńską z czeskiego książka Fr. Kubki pt. „RYCERZE I BIAŁOGŁOWY” (Iskry, opr. brosz., c. z 13, nakł. 10.000) o konstrukcji przypominającej żywo „Dekameron”, a zawierająca 21 romantycznych opowiadań o miłosnych przygodach rycerzy i księżek czeskich w różnych okolicach średniowiecznego świata.

Znaczący literatury niemieckiej zainteresuje wydany przez PIW trzytomowy wybór dzieł literackich, teoretycznych i publicystycznych G. E. Lessinga pt. „DZIEŁA WYBRANE” (opr. płóc., c. z 75, nakł. 3.000), w opracowaniu A. Sowińskiego.

Powieść współczesną w dzisiejszym serwisie nowości reprezentuje przełożona przez St. Gawłowskiego książka W. Rzeżacza pt. „SWIADEK” (KIW, opr. brosz., c. z 18, nakł. 7.000), charakterystyczną się podobną jak w „Krawędzi”, oryginalną metaforiką. Autor głosi zwycięstwo ludzi dobrej woli nad obydą i bestialstwami faszyzmu.

Na pograniczu powieści i pamiętnika stoi wstrząsająca swym realizmem relacja Dana Billany’ego z jego udziału w ostatniej wojnie, z której nie wrócił. Przełożona przez H. Dąbrowską jego „PULAPKA” (MON, opr. brosz., c. z 30, nakł. 10.000) należy do kategorii takich bestsellerów literatury angielskiej, jak spolszczony niedawno „DYWIZJON X” Gibsona.

Tematykę polskiego dwudziestolecia międzywojennego odnajdziemy w „SZPITALU CZERWONEGO KRZYŻA” M. Chorońskiego (Wyd. Pozn., opr. brosz., c. z 22, nakł. 20.000), książce, choć napisanej w r. 1933, to jednak dopiero dzisiaj publikowanej po raz pierwszy, a wprowadzającej czytelnika w doskonale znany autorowi świat ludzkiego cierpienia, skoncentrowanego w białych murach prowincjonalnego szpitala.

Powieść psychologiczną w bieżącym serwisie nowości reprezentuje ciekawa książka Z. Chądzyńskiego pt. „ŚLEPI BYZ LASEK” (Czyt. opr. brosz., c. z 10, nakł. 5.000) pisana w formie pamiętnika, którego osnową jest konflikt pomiędzy ojcem i córką.

Z literatury przygodowej ukazały się ostatnio dwie pozycje w Wyd. Morskim. Pierwszą z nich jest pełna egzotyki marynistyczna opowieść znanego kaszubskiego pisarza-samouka Augustyna Necla „OKRETYNICY SPOD NORDOWEJ GWIAZDY” (opr. brosz., c. z 26, nakł. 8.000) — druga zaś wydana w serii „Opowieści marynarzy” — „PRZYGODA W GIBRALTARZE” J. Borowicza (opr. brosz., c. z 19, nakł. 5.000), zawierająca, zgodnie z tytułem serii, szereg mniej lub więcej interesujących opowiadań z własnego życia autora-marynarza, nie roszącego sobie pretensji do miana literata.

Również i „S. i T.” wydał pełne niedziennych przygód wspomnienia J. Gauzeo z podróży po dzikim interiorze pld. Ameryki pt. „NA PRZELAJ PRZEZ DZUNGLE” (opr. płóc., c. z 28, nakł. 15.000).

Z gatunku powieści sensacyjno-kryminalnych ukazały się ostatnio dwie nowe pozycje: E. Vacheka „MEZCZYZNA I CIEN” (Wyd. „Ślask”, opr. brosz., c. z 20, nakł. 30.000), przełożona z czeskiego przez R. Janicką — oraz „RUDA MODELKA” polskiego autora (pseudonim) Dominika Damiana (Czyt., opr. brosz., c. z 20, nakł. 30.000).

Z wydanych ostatnio wzniołem na pierwszym miejscu trzeba postawić staranną edycję (pierwszą po wojnie) twimowskiego „POLSKIEGO SŁOWNIKA PIJACKIEGO” i „ANTOLOGII BACHICZNEJ” łącznie w „Czytelniku” (opr. płóc., c. z 55, nakł. 20.000) z ilustracjami F. Topolskiego. Również pierwsze po wojnie jest PIW-owskie wzniesienie „PIERWSZEGO PRZEZCIA” St. Zweiga (opr. brosz., c. z 12, nakł. 10.000) w przekładzie M. Wisłowskiej. Tematyka czterech nowel tomiku obejmuje pierwsze kontakty młodzieży z erotyką, przedstawione przez autora z głębokim znawstwem psychologii wieku dojrzewania.

KSIAŻKI NADESLANE

- Leonid Andrejew: Myśl, przełożyli W. Brunlewski, J. Brzeczowski, L. Flaszen, PIW 1958.
- Julian Włoszynowski: Opowiadania podolskie, PIW 1958.
- Trzej satyrycy rzymscy: Horacy, Persjusz, Juwenalis, w przekładach Jana Czubka i Jana Sękowskiego, PIW 1958.
- Beaumarchais: Wesele Figara, przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Zeleniśki (Boy), PIW, 1959.
- Stefan Straus: Józef Rychter, PIW 1959.
- Witold Filler: Jan Królikowski, PIW 1959.
- Francis Carco: Opowieść o Franciszku Villonie, przełożyła Jadwiga Dmuchowska, PIW 1959.
- Marian Brandys: O królach i kapuście, PIW 1959.
- Stanisław Kowalewski: Godzina zwyciężonych, PIW 1959.
- Hanna Malewska: Opowieść o siedmiu mędrkach, PIW 1959.
- Zeszyty naukowe, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Katowicach 1956.
- Adam Mickiewicz, Materiały Śląskiej Sesji Mickiewiczowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Katowicach, Wyd. „Ślask” 1958.
- Christopher Dawson: Religia i powstanie kultury zachodniej, przełożył Stanisław Ławicki, Pax 1958.
- Stanisław A. Korwin: Stosunki Polski z Ziemią Świętą, Pax 1958.
- Zygmunt Lichniak: Monologi kibica literackiego, Pax 1958.
- Zofia Kossak: Złota wolność, I/II, Pax 1959.

Ludowa S. W. po wydanej przed paroma tygodniami „BURZY NAD BRUKIEM” M. Rusinka wzniosła drugą część tej powieści „CZŁOWIEK Z BRAMY” (opr. brosz., c. z 14, nakł. 7.000), a ponadto pełne wydanie „HURAGANU” W. Gasiorowskiego w trzech tomach (opr. płóc. z obw., c. z 78, nakł. 30.000).

Nowinkarz

Dwutygodnik literacki „Kamena” • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. z 12, półrocznie z 24, rocznie z 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie z 16,80; półrocznie z 36,40; rocznie z 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544, Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.